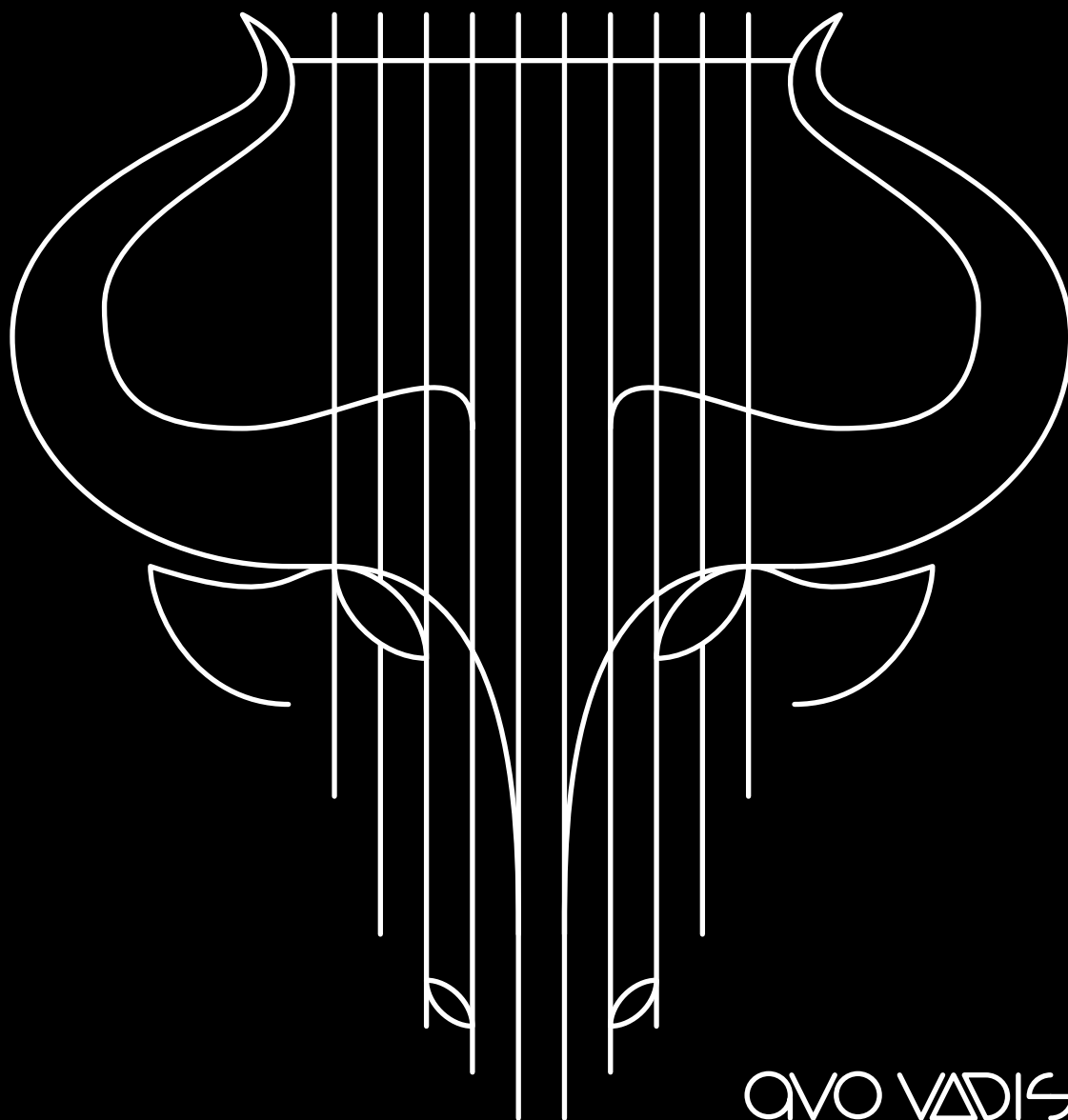


# VariArt

pismo kulturalno-literackie  
NR 04/2016 (33)



[www.wbp.olsztyn.pl](http://www.wbp.olsztyn.pl)



AVO VADIS



ISSN 2080-1483

MAŁGORZATA BOJARSKA-WASZCZUK  
OLGA ORZEŁ-KOPEĆ

## Konkurs na plakat „Rok Feliksa Nowowiejskiego”

Obchody Roku Feliksa Nowowiejskiego stały się przyczynkiem do zorganizowania wielu inicjatyw i wydarzeń kulturalnych. Na pewno wszystkie one przybliżyły postać kompozytora, a przede wszystkim pozwoliły szerzej poznać jego twórczość i przypomnieć te utwory muzyczne, które są nam mniej znane.

Jednym z ważnych wydarzeń upamiętniających sylwetkę kompozytora, patrona roku 2016, był konkurs na plakat zainicjowany wspólnie przez Wydział Sztuki Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego oraz BWA Galerię Sztuki w Olsztynie.

Przebieg konkursu pokazał, jak ważne są tego typu przedsięwzięcia. Temat okazał się niełatwy dla podejmujących go uczestników. Zgłoszono zaledwie 38 plakatów. Z prac 25 autorów, którzy nadesłali swoje propozycje na wystawę pokonkursową, jury w składzie: prof. zw. Krzysztof Trusz (Akademia Sztuk Pięknych, Warszawa), dr hab. Henryk Królikowski (Instytut Sztuk Pięknych, Uniwersytet Jana Kochanowskiego w Kielcach), dr hab. Nikodem Pręgowski (Wydział Sztuk Pięknych, Uniwersytet Mikołaja Kopernika w Toruniu), dr hab. Violetta Kulikowska-Parkasiewicz (Wydział Sztuk Pięknych, Uniwersytet Warmińsko-Mazurski w Olsztynie), dr Małgorzata Bojarska-Waszczuk (Dyrektor Biura Wystaw Artystycznych w Olsztynie) wybrało 16 prac 13 autorów. Komisja, oceniając konkursowe plakaty, przyznała trzy równorzędne nagrody za zdobycie III miejsca. Autorkami zwycięskich prac, wyraźnie wyróżniających się wśród pozostałych propozycji, zostały: Weronika Borzuchowska, Natalia Skowrońska-Iwańczyk — absolwentki Wydziału Sztuki Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego w Olsztynie oraz Małgorzata Komorowska, absolwentka Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie.

W wystawie pokonkursowej zaprezentowano prace następujących artystów: Przemysław Arciuch, Sebastian Bauman, Dawid Celek, Michał Tadeusz Golański, Mariusz Gutowski, Katarzyna Kozak, Michał Łacki, Krzysztof Motyka, Marta Pietrykowska, Iwona Słowik, Mateusz Stawarski, Magdalena Wosik oraz Adam Wyźlic.

Jury zrezygnowało z przyznania I i II nagrody. Cenna inicjatywa przybliżenia sylwetki Feliksa Nowowiejskiego okazała się dla artystów równie ciekawa, co trudna. Twórcy biorący udział w konkursie nie wykorzystali w pełni możliwości interpretacyjnych, jakie dawał temat. Wielu uczestnikom nie udało się uciec



Plakat wyróżniony, Natalia Skowrońska-Iwańczyk

od stereotypów wizualnych i tylko niewielu zaproponowało w swoich projektach nową jakość. Sztuka plakatu jest dziedziną wymagającą. Aby poruszać się w niej swobodnie, trzeba mieć dużą świadomość wizualną i wiedzę w zakresie tematu, którego dotyczy plakat, a także umiejętność posługiwania się środkami plastycznymi odpowiednimi do formy, jakiej wymaga język plakatu.

Niezależnie od wyników konkursu, które nie w pełni satysfakcjonowały organizatorów, cieszy fakt, że mimo wyraźnych trudności, jakich nastęrczył proponowany temat, artyści mieli okazję do zmierzenia się w zmaganiach konkursowych i zweryfikowania swoich propozycji artystycznych w szerszym kontekście. Mamy nadzieję, że przyszłe podobne wydarzenia będą kolejną okazją dla środowiska artystycznego do realizacji ciekawych wypowiedzi twórczych.



Plakat wyróżniony, Małgorzata Komorowska

W NUMERZE 04/2016:

### 02 NOWOWIEJSKI

MAŁGORZATA BOJARSKA-WASZCZUK i OLGA ORZEŁ-KOPEĆ:  
Konkurs na plakat „Rok Feliksa Nowowiejskiego”

### 04 WYWIAD

Wizja jest najważniejsza: Z JANUSZEM B. LEWANDOWSKIM  
rozmawia KRZYSZTOF D. SZATRAWSKI

### 07 PROZA

MIROSŁAW SŁAPIK: Horatio

### 09 POEZJA

ŁUCJA DUDZIŃSKA

### 10 POEZJA

GALINA ILIUCHINA

### 11 REGION

WALDEMAR MIERZWA: Laudacja na cześć Mieczysława Wieliczko

### 14 POEZJA

ALEKSIEJ ALIOCHIN

### 15 GALERIA

ŁUKASZ ZEDLEWSKI

### 18 HISTORIA PEWNEGO DOMU

EWA KURMIN: Dom na Oficerskiej

### 20 RECENZJA

ANITA ROMULEWICZ: Pisanie książek dla dzieci to nie jest łatwy chleb

### 21 PROZA

KAJA WILENGOWSKA: Nowi

### 22 WARMIA

OSWALD KOWALEWSKI: Obyczaje świąteczne

### 24 TEATR

ELŻBIETA LENKIEWICZ: Jubileusz 20-lecia Teatru przy Stolicu

### 25 MIASTO

AGNIESZKA KACPRZYK: Krótka historia o Długim

### 26 INICJATYWA

JOANNA TEKLA-WOŹNIAK i ANIA BRODA: Crowdfunding

### 28 INICJATYWA

MARCIN WAKAR: Miłośnicy Olsztyna

### 30 MONOGRAFIA

JOANNA PIOTROWSKA: Wokół Zatorza

### 31 WIEK MĘSKI

WALDEMAR TYCHEK: Kobiety idealne i mężczyźni na prezenty

Koniec roku to tradycyjnie czas podsumowań, także dla „VariArt”. Rozpoczęliśmy Nową odsłonę, wpadliśmy do Studni życia i przeszliśmy przez Mowę Trawę, by zapytać: Quo Vadis? Pytanie to zadajemy nie bez powodu, gdyż zadawał je także Feliks Nowowiejski, wielki kompozytor Warmii i Mazur, którego twórczość Olsztyn celebrował cały 2017 rok. O konkursie na plakat z tej okazji opowie nam Małgorzata Bojarska-Waszczuk oraz Olga Orzeł-Kopeć, zaś o książce przypominającej sylwetkę kompozytora Anita Romulewicz. Co łączy Nowowiejskiego z chryzantemą wskaże Waldemar Tychek, a Kaja Wilengowska wyjaśni, co kompozytor robił nocą w nowojorskim zoo. W takt muzyki Krzysztof Szatrawski rozmawia tym razem z Januszem Lewandowskim. Oprócz melomanów znajdziemy w „VariArcie” także Miłośników Olsztyna w relacji Marcina Wakara, sympatyków Zatorza, o którego monografię zadbała m.in. Joanna Piotrowska, fanekę Osiedla Nad Jeziorem Długim w osobie Agnieszki Kacprzyk czy zakochaną w domu na ul. Oficerskiej Ewę Kurmin. Nie zabraknie oczywiście poezji polskiej i zagranicznej oraz prozy — Mirosław Słapik prezentuje, jak łatwo zaplątać się we własnej egzystencji. Za sprawą kilku wspomnień Oswalda Kowalewskiego poznamy warmińskie Sługi, Kozy i Byry, zaś Joanna Tekla-Woźniak i Ania Broda pomogą zrozumieć, czym jest crowdfunding. W Roku Nowowiejskiego świętujemy także 20-lecie Teatru przy Stolicu oraz uhonorowanie Mieczysława Wieliczko Nagrodą Prezydenta Olsztyna. Dobrej kondycji w poszukiwaniach odpowiedzi na pytanie: Quo Vadis?

Wędrującym  
życzy  
Redakcja

VariArt

VariArt. Pismo kulturalno-literackie. ISSN 2080-1483  
Nr 04/2016 (33)

Wydawca:  
Wojewódzka Biblioteka Publiczna w Olsztynie  
10-117 Olsztyn, ul. 1 Maja 5; tel. 89 524 90 32; e-mail: wbp@wbp.olsztyn.pl

Współwydawca:  
Warmińsko-Mazurskie Stowarzyszenie ARESZT SZTUKI  
www.aresztsztuki.republika.pl; e-mail: aresztsztuki@gmail.com

Zespół redakcyjny:  
Iwona Bolińska-Walendzik, Joanna Cieślińska, Maja Dzieciątek, Monika Kowalewska,  
Krzysztof D. Szatrawski  
e-mail: variart@wbp.olsztyn.pl

Grafika: Przemek Kozak, skład: Patrycja Zdanewicz  
Druk: „Gutgraf” Zakład Poligraficzny Marian Świniarski Olsztyn

Zrealizowano przy współudziale finansowym  
Samorządu Województwa Warmińsko-Mazurskiego



Z JANUSZEM B. LEWANDOWSKIM ROZMAWIA KRZYSZTOF D. SZATRAWSKI

## Wizja jest najważniejsza

**Urodziłeś się w Reszlu, gdzie nie było szkoły muzycznej, zatem od samego początku jesteś związany z Olsztynem. Tu zaczęła się twoja edukacja muzyczna?**

Nie. W istocie zaczęła się już w Reszlu. Do Domu Kultury w Reszlu przyjeżdżały z Biskupca dwie osoby, które uczyły gry na pianinie i na akordeonie. Nie pamiętam już imienia i nazwiska mojej pierwszej pani profesor, która uczyła gry na akordeonie. Właśnie ona, mniej więcej po roku, w rozmowie z moim tatą zasugerowała, że może lepszy byłby dla mnie inny zawód. Rzeczywiście w tym czasie kompletnie nie chciałem grać, nie czułem takiej potrzeby. Są osoby, które pociąga sam instrument, poznawanie jego możliwości. Ale mnie to zupełnie nie pociągało. Sama muzyka była mi natomiast bliska, słuchałem jej i rozumiałem ją, analizowałem w naturalny sposób i to było moje podejście. Jak mówią wszyscy, od Bacha do Strawińskiego, sukces w muzyce to 99% pracy i tylko 1% talentu. A ja chciałem te proporcje odwrócić. W związku z tym moja pani od akordeonu uzgodniła z moim tatą, że może lepiej będzie, jeśli czymś innym się w swoim życiu zajmę.

**Nauczycielka po roku się poddała, a jednak był to dopiero początek...**

Najważniejsze okazało się to, że przy okazji tych pierwszych lekcji rodzice zorientowali się, jak wiele wiąże mnie z muzyką. Prawdopodobnie podczas tej rozmowy została wypowiedziana też szersza opinia na mój temat — dość powiedzieć, że po roku mama zapytała, czy chcę iść do Szkoły Muzycznej w Olsztynie. A ja odpowiedziałem, że tak, chętnie. I jako dziesięcioletek zjawiliśmy się 1 września w internacie Szkoły Muzycznej przy ulicy Kościuszki. Mieszkałem w pokoju na drugim piętrze, z okna widziałem tylko morze pszenicy, bo jeszcze OZOS-u, Stomilu czy ulicy Westerplatte w tamtym czasie w ogóle nie było, tylko łany pszenicy i gdzieś tam bardzo, bardzo daleko stodoła. To był rok szkolny 1965/66.

**Zatem był to zupełnie nowy, oddany właśnie do użytku internat Szkoły Muzycznej, w którym odbywała się również część zajęć szkolnych.**

Tak, był to pierwszy rok działalności internatu. Mieszkaliśmy w pokojach trzyosobowych w warunkach, które z punktu widzenia dzisiejszych standardów można byłoby uznać za spartańskie. W mniejszych pomieszczeniach były sale

prób. Ale nie wolno zapominać, że nie mieliśmy jeszcze nowej szkoły. To wciąż była epoka starej szkoły na Nowowiejskiego, więc to tam chodziłem na zajęcia. W internacie rzeczywiście odbywała się część lekcji indywidualnych, ale najważniejsze wykłady, przedmioty teoretyczne i zajęcia z głównego instrumentu, a także życie towarzyskie skupiało się wciąż w pierwszym budynku.

**A jak to się stało, że wybrałeś obój?**

To jest krótka historia, ponieważ szef Domu Kultury w Reszlu, kolega mojego taty, pan Zagórski, miał syna, który uczył się w Szkole Muzycznej na oboju u prof. Wąsowicza. Kiedy przyszedłem do szkoły, on ją akurat skończył. Obecnie jest emerytowanym oboistą Orkiestry Reprezentacyjnej Wojska Polskiego. Kiedyś przy okazji padło w rozmowie, że może bym poszedł na obój. I po wstępnych egzaminach, które poszły mi dobrze, bo ze słyszeniem nigdy nie miałem najmniejszych problemów, miałem spotkanie z prof. Wąsowiczem i chyba z prof. Wojdalińskim, o ile mnie pamięć nie myli. I oni mnie oglądali, ręce, usta, zęby, spróbowałem nawet zagrać kilka dźwięków na oboju. Ale ja już wiedziałem, czym jest obój, jako słuchacz. Podobała mi się barwa tego instrumentu i chyba chciałem grać, tak mi się wydaje.

**Obaj profesorowie Zenon Wojdaliński i Władysław Wąsowicz byli ważnymi postaciami w Olsztynie jako nauczyciele w szkole i jako muzycy Olsztyńskiej Orkiestry Symfonicznej im. Feliksa Nowowiejskiego.**

Tak, zapamiętałem ich jako niezwykle barwne, inspirujące osobowości. To byli starsi panowie o nienaganych manierach, odnoszący się do nas zawsze z szacunkiem i uwagą. Sam sposób, w jaki formułowali myśli, to już była lekcja kultury. Bywało, że był papierosek na lekcji, a może nawet coś więcej, ale to nigdy nie rzucało cienia na ich postaci. Zresztą nikt by nie śmiał ich krytykować. To byli po prostu pedagodzy z prawdziwego zdarzenia. Prof. Wąsowicz był już mocno starszym panem, byłem zresztą jego ostatnim dyplomantem, i była to legenda nie tylko wśród oboistów. Nie miał wielu uczniów, do dyplomu doprowadził w sumie sześciu czy siedmiu, ale wszyscy jego absolwenci odgrywali i odgrywają ważną rolę w życiu różnych orkiestr w Polsce, od narodowej do olsztyńskiej, i za granicą, bo np. Sławek Kowalski przez wiele lat pracował w orkiestrach niemieckich. Tę pozycję zyskiwali także, kontynuując studia na



innym kierunku, np. Janusz Król, który skończył dyrygenturę i jest znakomitym chórmistrzem, profesorem i prorektorem Uniwersytetu Jana Kochanowskiego w Kielcach.

**Wspominając olsztyńską szkołę i wybitnych nauczycieli, nie sposób nie przywołać dyrektora Garglinowicz.**

Dyrektor Iza Garglinowicz była postacią wyjątkową. Znała wszystkich i wiedziała wszystko. Pamiętam, że kiedyś, już w nowej szkole, zatrzymała mnie na schodach, aby wyrazić swoje zdanie o moich postępach i konieczności ćwiczenia pewnej sonaty. To był nieprawdopodobny autorytet. Miałem w życiu do czynienia z dwiema takimi kobietami, w gruncie rzeczy bardzo do siebie podobnymi, Zofią Lissą na Uniwersytecie Warszawskim, która była międzynarodowym autorytetem w świecie muzykologii, oraz Izą Garglinowicz, która była osobą tego samego formatu. Oczywiście czas i miejsce były inne, ale to jest ten sam format człowieka. Szacunek absolutnie u wszystkich. Rządziła jak chciała. Jestem przekonany, że gdyby nie Iza Garglinowicz, szkoła nie rozwinięłaby się w taki sposób, a czy powstałaby orkiestra, w ogóle nie wiadomo. Mirosław Dąbrowski, oddelegowany przez Rząd RP, przyjechał na ziemię wyzwolone z misją, jednak realizację tej misji powierzył Izie Garglinowicz. Warto pamiętać, że organem założycielskim orkiestry był Związek Zawodowy Muzyków RP...

**...którego założycielką i prezesem była Iza Garglinowicz.**

Dokładnie! I to ona, jako prezes, zaplanowała powstanie w Olsztynie filharmonii, a następnie umiała to przeprowadzić dyskretnie i skutecznie. Nie chcę odbierać Mirosławowi Dąbrowskiemu pozycji założyciela orkiestry — on był jej pierwszym dyrygentem. Ale nie wolno zapominać, że głową tego wszystkiego

Fot. Janusz Lewandowski z Krzysztofem Pendereckim w sali koncertowej Szkoły Muzycznej w Olsztynie, 2010  
Źródło: archiwum Janusza Lewandowskiego

była Iza Garglinowicz. Gdyby nie ona, nowa szkoła nie powstałaby tak wcześnie i w takim kształcie. Ta szkoła do dzisiaj należy do najlepszych w Polsce pod względem warunków lokalowych, a powstała prawie pięćdziesiąt lat temu. Mówimy o kimś, kto wiedział, co robić, jak to osiągnąć i miał wizję. Zawsze czułem, że wizja jest najważniejszym warunkiem sukcesu.

**W przypadku Olsztyna ta wizja była powtórzeniem przedwojennych wzorców Warszawy i Poznania, skąd pochodzili twórcy instytucji muzycznych w naszym mieście.**

Dokładnie tak było. W końcu na czymś musieli się opierać. Najważniejsze jednak, że znajdowali siły, aby realizować marzenia i nadać swoim wizjom realny kształt. To wizjonerzy są twórcami kultury. Na pewno taką osobą była Iza Garglinowicz. Miałem u niej również lekcje fortepianu dodatkowego. Poza tym przez pewien czas w jej gabinecie w starym budynku szkoły odbywały się lekcje oboju. Jej gabinet był na piętrze — jak się wchodziło, zaraz po prawej stronie był sekretariat, a lekko w lewo był gabinet pani dyrektor i klasa oboju. Do tego gabinetu chodziłem do roku 1972, przez 6 lat i często bywało tak, że ona siedziała nad papierami, a ja miałem lekcję z prof. Wąsowiczem.

**W 1972 roku otwarto nowy budynek przy ulicy Kościuszki i była to istotna zmiana.**

Tak. I przez ostatnie dwa lata miałem lekcje już tutaj. Ale właściwie to czuję się wychowankiem tamtej szkoły, jej niepowtarzalnej atmosfery. W latach 60. koncerty orkiestry odbywały się w Teatrze Jaracza. Była to w zasadzie jedyna sala koncertowa w mieście, grano tam także koncerty szkolne, w których jako oboista brałem udział. Nie mieliśmy Internetu czy telewizji. W wolnym czasie graliśmy „w piłę” na boisku piętnastki. Chodziłem do Szkoły Nr 3, która w tym czasie mieściła się w tej samej kamienicy co Dwójka, a później poszedłem do „klasztoru”, czyli I LO.

**Z obojem rozstałeś się po dyplomie?**

To się zaczęło kilka miesięcy przed dyplomem. Początkowo miałem jakieś problemy z płucami, z kondycją fizyczną. W końcu zaczęło mi to przeszkadzać w grze na instrumencie. Lekarze stwierdzili początki rozedmy płuc i sprawa była jasna: jeżeli będę grał, będę chorował, jeżeli przestanę, to dolegliwości

mogą ustąpić. Siłą rzeczy przestałem grać. Dokończyłem jeszcze dyplom, natomiast na studia na obój już nie poszedłem.

#### Ostatecznie wybrałeś kierunek ci najbliższy...

Wybrałem studia teoretyczne, z których jestem strasznie zadowolony. Skończyłem muzykologię na Uniwersytecie Warszawskim, ale chodziłem również na zajęcia teoretyczne do Akademii Muzycznej. Miałem to szczęście, że w czasie studiów poznałem największe postaci muzyki polskiej, współczesnych kompozytorów, którzy zdecydowali o wartości naszej muzyki. Po latach, kiedy organizowaliśmy w olsztyńskim środowisku muzycznym Dni Muzyki im. Feliksa Nowowiejskiego, bardzo ważnym elementem każdego programu był koncert polskiej muzyki współczesnej. Chodziło o pokazanie kierunków i postaci muzyki nowej. Organizowaliśmy również koncerty kompozytorskie.

#### Procentowało tu doświadczenie z lat studiów?

Niewątpliwie. Jeżeli się żyje przez pewien czas w środowisku, w którym na co dzień pojawiają się takie postaci, jak: Krzysztof Penderecki, Witold Lutosławski, Wojciech Kilar, Kazimierz Serocki, Witold Rudziński, Romuald Twardowski, a z wykonawców: Regina Smędzianka, Halina Czerny-Stefańska, Konstanty Andrzej Kulka i wielu innych, a trudno tu postawić kropkę, to człowiek, chce czy nie chce, przesiąka tą atmosferą. Idziesz na zajęcia i spotykasz się z Lutosławskim czy z Krzysztofem Baculewskim i oni tłumaczą ci coś jako twórcy. Takiej satysfakcji nie da się z niczym porównać. Czasami jakaś uwaga, jedno celne zdanie potrafiło zmienić kierunek myślenia o muzyce i w ogóle o kulturze.

#### Aktywnie działałeś też w radiu. Na początku było to słynne Radio Kickie.

Na początku było Radio Kickie, a później, w 1977 roku, powstało Studenckie Centrum Radiowe będące wspólnym przedsięwzięciem warszawskich uczelni. Każda uczelnia wносиła istniejące w tym czasie rozgłośnie jako część infrastruktury, byliśmy połączeni kablem. Każda uczelnia otrzymywała też jakieś stanowiska. Uniwersytetowi Warszawskiemu przypadły redakcje: społeczno-polityczna i muzyczna. Jako muzykologowi ze stażem w Radiu Kickim powierzono mi obowiązki szefa redakcji muzycznej. Studenckie Centrum Radiowe działało na Politechnice, gdzie powstało w pełni profesjonalne studio.

**W tym czasie grałeś sportowo w brydża, byłeś w reprezentacji Uniwersytetu Warszawskiego.**

To był jeden rok, kilka razy poważniejsze zawody, naszym trenerem był Janusz Korwin-Mikke, fenomenalny teoretyk brydża, autor dwóch świetnych książek dotyczących tej gry. Zdarzało mi się grać z nim w parze. Pamiętam, jak graliśmy w akademiku na Kickiego, a w tym samym pokoju nasz trener odbijał na powielaczu Komunikaty KOR-u. Nie chcę przy tym stworzyć wrażenia, że byłem jakimś działaczem podziemia. Końcówka moich studiów przypadła po prostu na lata, kiedy żyliśmy w sposób zasadniczo odmienny od tego, z czym dziś kojarzy się tamta epoka.

#### Po studiach postanowiłeś wrócić do Olsztyna...

Studia skończyłem w 1979 roku, ale co będę robił po studiach, zostało postanowione wcześniej. Iza Garglinowicz powiedziała: „Masz przyjechać do Olsztyna, bo będziesz rozmawiał na temat pracy w Olsztynie”. I koniec. Chociaż były też inne scenariusze. Dostałem propozycję pozostania na uczelni. Ponieważ byłem jednym z pierwszych, którzy zajmowali się polską muzyką eksperymentalną, zaproponowano mi etat. Teraz można dywagować, jakie przesłanki zadecydowały, ale uczciwie mówiąc, chciałem wrócić do Olsztyna. Przede wszystkim od razu miałem pracę w szkole i na WSP, audycję radiową, krytyki pisane dla „Gazety Olsztyńskiej”, a w końcu pracę w filharmonii, gdzie zostałem konsultantem programowym. Od razu poczułem się potrzebny. Poza tym brakowało w Olsztynie muzykologa. Wprawdzie muzykologiem był Roman Urbanek, jednak on realizował się raczej jako dyrygent. A ja chciałem uczyć przedmiotów teoretycznych i promować ambitną kulturę muzyczną.

#### To bez wątplenia cecha tamtych czasów, ale także wpływ środowiska warszawskiego z Akademią Muzyczną i Muzykologią na Uniwersytecie.

Tak, odważne wizje, prężność i otwartość środowiska zawsze mi imponowały. I kiedy po studiach wróciłem do Olsztyna, szukałem możliwości tworzenia podobnych mechanizmów. Chociaż zdawałem sobie sprawę z tego, że nie mając akademii, nie mamy właściwie szans, to jednak czułem, że mogłaby tu być trochę inna szkoła muzyczna, może inna filharmonia, inne środowisko, które mogłoby się rozwijać w takim właśnie kierunku. Zebraliśmy takich fajnych, sensownych ludzi, młodych, w większości chyba młodszych ode mnie i zaczęliśmy robić Dni Muzyki im. Feliksa Nowowiejskiego. Muszę te nazwiska wymienić: Jan Boehm, Wiktor Włudyka, Daniel Dramowicz, Krzysztof Dariusz Szatravski, Benek Błoński, Andrzej Borkowski, Rysiu Wolski, Marzena Bieñkuńska, Krysia

Kwahs, Zenona Rondonańska — to już wystarczy! Oczywiście tych nazwisk jest więcej. Pojawilo się wtedy strasznie dużo ludzi, którzy zaczęli podobnie myśleć, a przy tym chcieli przezwycięzać to, co nas przytłaczało. Oczywiście zdawaliśmy sobie sprawę z tego, że wielkiego świata to my tutaj nie stworzymy, ale może trochę go do nas przyciągniemy... Ale to też nie była prawda, bo minęło kilkadziesiąt lat i dzisiaj się okazuje, że te same osoby wciąż tworzą ten świat. Część z tych ludzi odeszła, zmieniała miejsca, ale pozostali wciąż robią to samo: Benek Błoński, Krzysztof Szatravski, Marcin Wawruk, Zbyszek Ostrowski — świetny pedagog szkoły muzycznej...

#### Był również w Komitecie Organizacyjnym Dni Muzyki...

Tak! Był świetnym kierownikiem organizacyjnym. Wiedziałem, że kogoś ważnego nie wymieniłem! A obawiam się, że listę tę można jeszcze wydłużyć.

#### Było to cenne doświadczenie.

I teraz z perspektywy lat można powiedzieć, że to procentuje. Nasze środowisko organizuje konferencje naukowe, robimy festiwal międzynarodowy, filharmonia dostała kilka lat temu Fryderyka za płytę z mszami Nowowiejskiego, nagrodę Le Ring za płytę grunwaldzką. Ci ludzie uważani są za zawodowców, jeśli chodzi o wykonawstwo muzyki Nowowiejskiego. Dlaczego Nowowiejskiego? Bo to jest nasz kompozytor! Gdyby tu się urodził Johann Sebastian Bach, byłiby tak samo świetni w jego twórczości. I dzisiaj z okazji Roku Nowowiejskiego, nie tylko ja, ale i moje koleżanki i koledzy, jesteśmy zapraszani, aby o jego twórczości mówić, aby ten dorobek promować. I to robi nasze środowisko. Tak jak kiedyś chcieliśmy otworzyć te wierzeje i spojrzeć szerzej na muzykę i kulturę, to teraz już widać, że nam się to udało. I kiedy dzisiaj patrzę na nasz Uniwersytet, na szczególnie mi bliski Wydział Sztuki, to serce rośnie! Poza tym mamy w Olsztynie jedną z najlepszych szkół muzycznych II stopnia w Polsce. Z tej szkoły wywodzi się dwóch wizytatorów szkolnictwa artystycznego i kilku ekspertów Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego, między innymi Teresa Taradejna, która jest wybitną specjalistką w dziedzinie badania poziomu kształcenia w szkolnictwie muzycznym. To wszystko wymagało i wiedzy, i wizji, i sprzyjających warunków, i niewyobrażalnej energii. Ale wgląda na to, że udało się tego dokonać.

#### Dziękuję za rozmowę.

## MIROSŁAW SŁAPIK

### Horatio

Horatio obudził się tego ranka z osobliwym uczuciem, że ma ochotę na surowego kurczaka. Nie zaskoczyło go to jednakowoż, jedną z jego pasji były bowiem sny — nieraz przez kilka dni nie mógł się uwolnić od nierzadko mrocznej i postrzępionej sennej woalki, tym bardziej że mroki duszy bywały dla niego pociągające. Horatio spisywał sny, analizował je, nosił się nawet z zamiarem skontaktowania się za ich pośrednictwem z jednym ze swoich praszczurów, choćby z epoki kamiennej. Swoją poranną apetyt na surowego kurczaka uzasadnił zatem z łatwością. Zsunął się z łóżka i udał do kuchni. Po drodze do lodówki zauważył leżące na stole jajko i połknął je bez namysłu, nawet nie obierając ze skorupki. Po chwili na powrót poczuł się sennym.

Dzień był słoneczny, kuchnia wspaniale oświetlona, toteż na podłodze bardzo wyraźnie odznaczały się świetliste miejsca w kształcie okien, przypominające diagram do gry w klasy. Horatio ułożył się na jednym z tych nasłonecznionych placyków. Zasnął. Sen był równie słoneczny, choć treść tyleż doniosła, co i banalna — jego sekretarka rozstała się nareszcie ze swoim narzeczoną, oni oboje zaś, to znaczy Horatio i sekretarka, udali się po pracy do „Jaskini”. Zamówili smakowite, surowe i poruszające się na talerzykach żaby jedli je, popijając surowymi jajkami. Rozmowa toczyła się beztrudno i korzystnie dla Horatia. Teraz będzie już wiedział, co dalej robić. „Co tam żona! Podstarzała żręda! Co tam córki! Są już dorosłe. Na pewno mi wybaczą. Mają zresztą śmiałe spojrzenie na życie.”

Niespodziewanie restaurację ogarnął chłód. Nie był przejmujący, mimo to nie pozwalał na przytulny sen. Horatio przebudził się. Tym razem już wyraźnie zaskoczony swoim usytuowaniem. Był pewien, że to jeszcze rano, a nie późne popołudnie. Toteż postanowił się ogolić i pójść do biura. Zmartwił, nim zdążył domknąć od wewnątrz drzwi do łazienki. Przed nim, w łazienkowym, sięgającym podłogi lustrze, zamiast przystojnego, niewyglądającego na swoje pięćdziesiąt cztery lata szatyna, stał, a właściwie częściowo stała, najprawdziwsza kobra. Gad był częściowo zwinięty w „tradycyjny” kłęb, wlepiając nieruchomo wzrok w Horatia, rysunek okularów zaś dodawał temu wizerunkowi groźnego wyrazu angielskiej starej panny.

Pierwsza myśl, jaka do niego dotarła, to że to nadal ten sam sen. Była to wręcz pewność, dopóki się nie uszczypnął i nie odczuł wyraźnie, iż żadna z jego dotychczasowych kończyn nie daje o sobie znać. Zaczął wotać

o ratunek, lecz prócz syku nie wydobywał się zeń inny głos. Zwymiotował. Miał daleko posuniętą awersję do wszelkich gadów i płazów. Nigdy nie wziął do ręki zwykłej dżdżownicy i chyba był to jedyny powód, dla którego nie został węd-karzem. Doświadczył kiedyś podobnego uczucia w kinie, kiedy to mężczyznę odkrywającego skarb ugryzł w rękę stróż grzechotnik. Całe szczęście, że nikt wtedy przed nim nie siedział.

Zdeterminowany postanowił poszukać żony, choć jeszcze wczoraj robiłby wszystko, by być od niej jak najdalej. Tylko jak się jej pokazać? Jak się z nią skontaktować w tej postaci? Na dodatek nie mógł przecież wydobyć z siebie nawet jednego słowa. Wiadomo zresztą, jak zareaguje kobieta bojąca się myszy na widok wpełzającego do jej sypialni okazałych rozmiarów okularnika. Cóż, tonący brzytwy się chwyta. Czy miał coś do stracenia oprócz... własnej żony? Miał szczęście, drzwi były uchylone. Wsunął głowę i rozejrzał się ostrożnie po pokoju. Nikogo. Zastanowiła go tylko wygnieciona na jej łóżku pościel. Przecież Karolina miała zwyczaj i wcześniej wstawać, i od razu porządkować łóżko. Wpełzł dalej. Nikogo. Już miał się wycofać, kiedy przed wygastym kominkiem zobaczył coś, co go po raz kolejny tego dnia przyprawiło o dreszcz. Na dywanie leżał stos dętek motocyklowych. Szybko jednak uprzedziło go przecucie, ponieważ nie musiał się dłużej przyglądać, by zobaczyć coś innego – na dywanie, w miejscu, na które jeszcze padało światło zza okna, spała afrykańska czarna mamba.

Kiedy już trochę ochłonął, przyszło mu do głowy, że może to i lepiej. Może w ten sposób łatwiej znajdzie płaszczyznę porozumienia z żoną. Jednak ta przebudziła się i, mimo że zasyczała wojowniczo, szybko wpełzła w szparę pomiędzy ścianą i boazerią. Horatio postanowił spróbować jeszcze jednej deski ratunku. Poczekaj na córki. Za godzinę powinny wrócić z meczu. Jeszcze miał niktą nadzieję, że ta osobliwa sytuacja to jedynie brak możliwości przebudzenia się z kolejnego snu, wszak bywało, że miewał sny „szkatułkowe”,

kilkuwarstwowe. Nie czuł fizycznego zmęczenia, kiedy udawał się na patio i to było tego dnia jedyne pozytywne odczucie. Nie był już tak zaskoczony, kiedy przy jednym z kwietników dostrzegł wygrzewające się, korzystające z resztek zachodzącego słońca dwa grzechotniki. Leżały przytulone do siebie. Zobaczywszy Horatia, przyjęły jednak bojową postawę.

Dał za wygraną. Pomyślał zrozpaczony o tym, co się stało, o pracy. O tym, że jeżeli w ciągu najbliższych trzech dni nie powróci do swojej normalnej postaci, to pewnie zostanie zwolniony. Tylko dlaczego tak niedobrze mu w nowojskórce? Odniośł przecież wrażenie, że cała jego pozostała rodzinka czuje się znakomicie w nowych wcieleniach.

Przez trzy dni nie wytknął nosa, a właściwie języka, poza swoją posiadłość. Nie czuł nawet głodu i obojętnie potraktował mysz, która przemknęła w zasięgu jego języka. Nikt go w tym czasie nie odwiedził. Za wszelką cenę postanowił przedostać się do miasta. Jednak wystarczyło, że dotarł na szczyt wzgórza, skąd schodziło się w kierunku zabudowań... To, co zobaczył, było już niestety ponad jego siły.

Samobójstwo nie jest takie proste, nawet jeśli się tego bardzo chce. Na dodatek jak to zrobić w wypadku jego nowej cielesności? Prawie odruchowo zaczęł się jednym końcem swojego ciała o gałąź najbliższego drzewa i ukształtował w pętlę. No tak, pętla jest, a nie ma w niej ofiary. Wreszcie znalazł sposób. Zawiązał się mocno w podwójny węzeł...

Siedemnastego lipca 1984 roku mieszkańców południowoamerykańskiego miasteczka Quiroga zszokowało dziwne wydarzenie. Na przedmieściu policja znalazła zwłoki Horatia K., szanowanego obywatela i wzorowego pracownika tamtejszej firmy budowlanej. Najbardziej zastanawiające było ułożenie ciała nieboszczyka. Nogi miał mocno zarzucone na szyję. Lekarz policyjny stwierdził zgon na skutek pęknięcia kręgosłupa.

## ŁUCJA DUDZIŃSKA

### CZARNY KAPELUSZ

W nocy jestem naga i obca. Czerń ukryje wszystko, nie zdradzi moich kamiennych spojrzeń, wyciągniętych dłoni – wciąż myślę kierunki. Codziennie patrzysz w okna. Zostawiasz swoją pościel, aby ciągle nękały ją koszmary.

Mój leśny kochanku zaczekaj, aż obudzą się drzewa. Zaczekaj, aż mchy połkną rosę; tak jak w książce, którą skończyliśmy czytać. Wypowiadasz słowa niedonoszone, niedochodzone – ważniejsza jest chwila niż wspólny czas.

Rzucasz je w biegu z ust do ust, aby zatrzymać, aby zdążyć: w zderzeniu spojrzeń, w uścisku rąk, w równaniu kroku,

aby zdążyć!

### SOMNAMBULIZM

Myśli sobie – to lunatykowanie. Usprawiedliwia – to mijająca przypadłość (uwarunkowana genetycznie). Może wystarczy promień księżycy, aby rozpalić zmysły i bujać, odbijać się i wracać (jak na trampolinie). Odlicza do skutku dni. Uczyć się rozkładów jazdy w każdą stronę, skasować, wyrzucić bilety.

Pragnienie to stan przejściowy, jak głód. Da się przeżyć. Uwierzyć. Udawać. Później zapomnieć. Znów nauczyć się kroków i drogi na niepamięć, na instynkt, na zew. Często wtedy najistotniejszy jest szczegół – ten punkt, oddalający się na horyzoncie. Sedno sprawy oraz kłujące igły w stogu siana, gdy on i jego zapach wcierał się w ciało (a był dobry na sen, niczym jasek przytulony do policzka).

### ZNAKI. GESTY

Zalega w nas kurz po szarość w szarych komórkach. Z drogi krętej, która biegnie i nie zawraca. Idziemy wciąż dalej i dalej. Śledzą nas drzewa, mijane okna, otwierane na chwile drzwi, zasklepienie ciekawością dziurki od klucza, judasze wszechwidzące korytarz

jak tunel. Prowadzi na wolność, gdzie dębowe płaszczyzny kryją ciepłe oddechy. Wystarczy przekroczyć próg, otworzyć scenę – realną z nierealną granicą strachu.

W życiu zagubienie dopada niespodziewanie.

### ZAJŚCIA

Miejski gwar, pośpiech, przenikają się plany, klarują decyzje. Wszyscy w markecie kupują stare i nowe. Drzwi otwierają – zamykają, wchodzą – wychodzą. Wracają? za potrzebą. Duży przeciąg – trzasnęły drzwi. Trzeba być

ostrożnym. Policzone wszystkie palce – można pstryknąć w nos, można strzelić. Bonanza. Przypominasz sobie stary film o dzikim zachodzie i wejście wahadłowe. *Nie pchaj się na chama, bo dostaniesz w twarz albo poniżej pasa.*

Gdy ruch jest wielki, wkręcą cię drzwi obrotowe. *Uważaj! nie chodź w kółko, zanim ktoś popchnie, wypchnie, nadeptnie na piętę.* Bywają drzwi, które trzeba ciągnąć albo pchać. To zależy co kto lubi – bez wysiłku i pomysłu

nie wejdiesz. Inne rozsuwają się, jak wyczują... a jednak żal drzwi z judaszem – spojrzenie przez niego ukazywało inny świat.

ŁUCJA DUDZIŃSKA — poetka, animatorka kultury, redaktorka, wydawca, członkini SPP. Autorka pięciu tomów poetyckich, tłumaczona na dziewięć języków. Zainicjowała w 2011 roku powstanie ogólnopolskiej Grupy Literacyjnej Na Krechę, prowadzi fundację FONT. Mieszka w Poznaniu.

GALINA ILIUCHINA

Wiersze przełożył Krzysztof D. Szatravski

LILIT

gdzie drewniany skrzypi młyn  
droga kluczy, a z nią biedna  
lilit błądzi pośród pól  
biały kosmyk na ciemieniu

położyła się na swym  
miejscu przy wyschniętej studni  
i już serca minął ból  
gdy komary dzwonią w cieniu

światła koronkowe piętna  
jaskółki w górze skreślone  
a podchodząc tak, jak lubię  
czas do zmierzchu został ci

a ty nadal śpisz tak piękna  
jak dziecko, z nitką czerwoną  
owiniętą na przegubie  
i nie ty się dzisiaj śniesz

PUSTE MIESZKANIE

Od dawna w domu nie ma mnie,  
lecz papierosów woń się unosi.  
W zachodnim oknie na szerokość,  
odbite światło kłębi się.  
W szklance tyżeczka cicho drży,  
młynek do kawy miele dzień,  
i abażura milczący cień  
tuła się wciąż, jak wieczny Żyd.  
Wyglądził fotel swe obicie  
i okazały wciągnął brzuch –  
i czeka skrzypiąc tak, by znów  
przycisnąć guzik na pilocie,  
by w końcu włączyć skrzynkę martwą,  
aby znów z gadającą głową  
ciągnąć dyskusje swe z mozołem...  
I jak ma usnąć sąsiad z dołu,  
może uwierzył już, że śpi,  
gdy hałas z piętra go obudził,  
klnie więc szaleństwo obcych ludzi  
I sufit umiejętnie chrzci.

WIEDZMA KSIĘŻYCOWA

Noc przewraca oczami gwiazd –  
nadchodzi już sowa godzina.  
Na Newie porywisty wiatr  
pędzących fal grzbiety napina.  
Warzy się w kotle podwórza  
wiedźmy chciwie chwytają w nozdrza –  
czarownych traw aromatem  
czarne powietrze przepojone.  
Księżycu, nalej do pełna  
w to miasto-widmo tchnij mglisty mrok  
niech całe się iskry, do dna –  
od krzyży po włóczęgów nory,  
zielony niech cygański blask  
w pełni zawładnie ludzkimi sny...  
Sąsiad nie może nocą spać  
niejasne dręczą go wyrzuty,  
pójdzie palić w kuchni, boso  
gorącym czołem dotknie szyby.  
Świt jak kłębiące się pasmo  
ścieka z dachów na dno studni,  
gdzie pod ślepą ścianą w kącie,  
z rozkopanych gałganów cicho,  
patrzy księżycowi w oczy  
nieszczęśliwe boże dzieciątko.  
Patrzy w światło, jakby w końcu  
Olśniło oto ateistę.  
A na ciemnym jego licu  
Dwa rozmyte paski czyste.

WALDEMAR MIERZWA

## Laudacja na cześć Mieczysława Wieliczko

Czcigodny Laureacie!  
Szanowni Państwo!

Przypadł mi w udziale zaszczyt wygłoszenia laudacji na cześć dzisiejszego Laureata Mistrza Mieczysława Wieliczko. Przyznam, że nie wiem, z czego jestem bardziej dumny: z tego, że mogę dzisiaj wygłosić te słowa, czy z tego, że mogę współpracować z nim na co dzień przy książkach Oficyny Wydawniczej „Retman”.

Mieczysław Wieliczko urodził się w 1949 r. w Olsztynie. Jego rodzice przybyli tu z Wileńszczyzny – tato Michał z Nowych Święćan, mama Bronisława z białoruskich dziś Wasiliszek. Oboje nie znaleźli się tu z własnej woli. Tato był tzw. repatriantem, mama uciekała przed wyrokiem śmierci za przynależność do Armii Krajowej.

Jak zauważył nasz dzisiejszy Bohater w pięknej, także dzięki Jego zdjęciom, książce *Zasmakuj w Warmii. Rzecz nie tylko o kuchni*: „nie wybieramy sobie ojczyzny. Przychodzimy na świat z woli rodziców, w określonym miejscu i czasie. Pierwszy krzyk wydałem w Olsztynie. Gdybym to uczynił przed 1945 r., byłbym pewnie Warmiakiem”.

Mieczysław, który nigdy nie opuścił Olsztyna na dłużej niż kilka tygodni, nie chce mienić się Warmiakiem, a miałby moim zdaniem do tego prawo, bo jest dzisiaj na pewno jednym z najbardziej znanych mieszkańców tej krainy! Wielu ludzi w wielu miejscach świata patrzy na naszą Warmię i nasz Olsztyn jego oczami, poprzez zdjęcia, których jest autorem.

Pierwszy aparat fotograficzny, marki Druh, porządny produkt Warszawskich Zakładów Optycznych, nasz Laureat otrzymał w dniu I Komunii Świętej od swego ojca chrzestnego, wuja, także Mieczysława. Proszę sobie tylko od razu nie wyobrażać, że w tym dniu Mieczysław zapałał chęcią do fotografowania. Takie rzeczy, jeśli już, dzieją się najczęściej w filmach. Postawiłbym nawet tezę, że nasze komunijne prezenty dość rzadko przekładają się na to, co będziemy robili w przyszłości. Ja na przykład z powodu braku porozumienia między chrzestnymi dostałem dwa takie same radzieckie zegarki, a jednak nie zostałem zegarmistrzem.

Mieczysław nie został więc fotografem od razu. Po wykonaniu kilku zdjęć swoim kolegom, przede wszystkim zaś Tadeuszowi Burniewiczowi, swojego Druha odstawił i o fotografowaniu na lata zapomniał.

O powrocie do robienia zdjęć, bo ciężko byłoby to nazwać jeszcze sztuką fotografowania, zdecydował przypadek. Po studiach nauczycielskich w Olsztynie i Gdańsku, na kierunkach wychowanie muzyczne i pedagogika, nasz Laureat podjął w 1972 r. trud znalezienia etatowej pracy. Chodzenie po

prośbie od szkoły do szkoły w poszukiwaniu wolnej posady nauczyciela muzyki doprowadziło go w końcu do gabinetu wicedyrektora Technikum Budowlanego w Olsztynie. Rozbawił go Mieczysław swoim pomysłem o nauczaniu muzyki w szkole, gdzie „uczą domy robić”, ale gdy nasz Laureat miał opuszczać gabinet i zrezygnowany już sięgał po klamkę, usłyszał zza pleców zbawcze pytanie: „Czy wy, kolego, umiecie fotografować?” Mieczysław, nie zastanawiając się, wypalił: „Ależ oczywiście!”

Wprawdzie każde kłamstwo ma krótkie nogi, ale niektóre potrafią przemierzyć naprawdę długie dystanse. W tym przypadku wpadka była blisko, dyrektor zabrał bowiem od razu Mieczysława do świetnie wyposażonej szkolnej pracowni fotograficznej. Nasz Bohater, oszołomiony rozwojem sytuacji, ale przede wszystkim zastanawiający się nad konsekwencjami wymuszonego sytuacją życiową oszustwa, chodził za swoim nowym pracodawcą po pracowni, udanie kiwając z zachwytem głową nad jej, nieznanym sobie prawie zupełnie, wyposażeniem. Gotów był właśnie przeproszać za kłamstwo, gdy dyrektor podał mu nowiutki, wtedy – jakbyśmy to dzisiaj powiedzieli – topowy, enerdownski aparat – Practice L.

I w tym momencie, zupełnie przypadkowo, Mieczysław drżącą ręką nacisnął cięgielko do zwijania filmu. Patent z tym cięgielkiem pojawił się na rynku wraz z tym modelem Praktici. „Widzę, że mam do czynienia z fachowcem, któremu nie są obce nowości” — powiedział zachwycony dyrektor i uczynił naszego Laureata kierownikiem zajęć pozalekcyjnych, odpowiedzialnym za chór, zespół muzyczny, no i oczywiście pracownię fotograficzną.

Nie było wyjścia. Mieczysław obłożył się książkami, każdą przeczytał po kilka razy, wziął swoją służbową Practice i zaczął fotografować. Udało się: po wakacjach znał się na fotografii lepiej od każdego z członków szkolnego koła fotograficznego przy Technikum Budowlanym w Olsztynie.

Na pytanie, jak osiągnąć sukces, Mieczysław Wieliczko odpowiadał kilka lat temu red. Ewie Zdrojkowskiej w programie „Światłem malowane” w Radiu Olsztyn. Odpowiadał nieswoimi słowami, przywołując wypowiedź profesora Tadeusza Kotarbińskiego. Podczas wykładu inauguracyjnego dla studentów I roku Uniwersytetu Jagiellońskiego, którego nasz Laureat był trochę przypadkowym uczestnikiem, profesor Kotarbiński stwierdził, że jest pięć warunków odniesienia sukcesu:

- Po pierwsze: praca.
- Po drugie: praca.
- Po trzecie: praca.
- Po czwarte: szczypta talentu.
- Po piąte: dużo szczęścia.

GALINA ILIUCHINA – poetka urodzona w Leningradzie, mieszka w Sankt Petersburgu, autorka czterech tomów wierszy, redaktorka czasopism, szeregu antologii i wydawnictw zbiorowych, organizatorka życia literackiego – w Związku Pisarzy Sankt Petersburga oraz petersburskim oddziale Związku Pisarzy Rosyjskich, gdzie pełni rolę prezesa. Dwa ostatnie zbiory, *Ptasi luty* (2012) i *Dzwonnicza górka* (2016), zostały wysoko ocenione i wielokrotnie nagrodzone.



Mieczysław Wieliczko powiedział Ewie Zdrojkowskiej, że spełnia te pięć warunków całkowicie. Nie mamy powodu, by mu nie wierzyć.

Zanim przysły sukcesy, była ciężka praca. Czas przeszedł jest tu zresztą chyba użyty przeze mnie niezbyt fortunnie. Mieczysław ciężko pracuje do dzisiaj. Nie znam wielu tak oddanych swej pracy i pasji ludzi. Potrafi się w niej zatracić. Gdy kiedyś Ewa, jego żona, będzie dzisiaj jeszcze i o niej mowa, uprosiła go, by chociaż raz na rodzinny wakacyjny wyjazd nie zabrał sprzętu fotograficznego, przez dwa tygodnie chodził jak struty, denerwował go nawet szum fal, w końcu stracił apetyt. Nie powinniśmy się więc dziwić, że te dwa tygodnie do dzisiaj uznaje za najgorszy czas w swoim życiu.

W Technikum Budowlanym Mieczysław pracował dwa lata, potem znalazł zatrudnienie w Zespole Szkół Ekonomiczno-Handlowych, gdzie także prowadził koto fotograficzne. Fotografował coraz więcej. Z tego okresu pochodzą jego znakomite czarno-białe prace, które posłużyły do zilustrowania innej książki naszej Oficyny — *Wierzeń mazurskich* Maksa Toeppena — będącej w istocie etnograficzną biblią Mazur. Tekst pochodzi z połowy XIX wieku, fotografie Mieczysława, które wykonał w sto lat później w okolicach m.in. Szczytna, mają w sobie taki urok, że nie wahałem się nawet przez moment, by zilustrować nimi opowieść o świecie wierzeń Mazurów.

W 1973 r. nasz Laureat, wówczas już członek Warmińsko-Mazurskiego Towarzystwa Fotograficznego, otrzymał swoją pierwszą nagrodę. Było nią wyróżnienie podczas olsztyńskiej Wystawy Aktu i Portretu „Apollo”. Modelem naszego Laureata był, tak jak i w czasach dzieciństwa, Tadeusz Burniewicz, którego bez większych problemów udało się namówić do pozowania. Praca będąca montażem nosiła tytuł „Liczyrzepa” (Liczyrzepa to duch Sudetów) i przedstawiała modela z gołym torsom nad sfotografowaną, nieistniejącą wtedy jeszcze, ale będącą już w budowie, ulicą Leśną. Swoją drogą dzisiejszy Bohater ma też w swoim dorobku brązowy medal na Międzynarodowej Wystawie Aktu i Portretu „Venus”, Kraków 1981. W tym przypadku zmuszony był oczywiście zrezygnować z usług przyjaciela modela.

W 1981 r. nasz Laureat podjął pracę w Pałacu Młodzieży, gdzie przez 23 lata prowadził pracownię fotograficzną. Zaczęło się od kilkumiesięcznej przerwy, niedługo bowiem po zatrudnieniu, w grudniu 1981 r., w związku z wprowadzeniem stanu wojennego został zwolniony z pracy. Była to kara za to, że razem ze śp. Grażyną Langowską zakładała nauczycielską „Solidarność” na Warmii i Mazurach. Groził mu zakaz wykonywania zawodu. Odwołał się do sądu, sprawę wygrał i po pół roku wrócił do pracy z młodzieżą. W książce „SB wobec solidarności na Warmii i Mazurach” poświęcono mu stronę, w aktach Służby Bezpieczeństwa zachowała się jego teczka rozpracowywania pod nazwą „Fotograf”.

W czasach Mieczysława przez pracownię Młodzieżowego Domu Kultury przewinęło się kilku dzisiejszych zawodowych fotografów i operatorów filmowych (np. Marcin i Paweł Figurscy) oraz ludzi związanych z filmem — montażystów i animatorów kultury (np. Marcin Kot Bastkowski). Andrzej Waszczuk jest twórcą i wydawcą albumów o Warmii.

Od 31 lat sakramentalną towarzyszką życia Mieczysława jest Ewa, na co

dzień prowadząca zajęcia fotograficzno-multimedialne w olsztyńskim Pałacu Młodzieży. Nie wiem, czy się Państwo ze mną zgodzicie, ale kiedy się na nią patrzy, trudno w te 31 lat uwierzyć. Przecież ona w ogóle nie wygląda na o wiele więcej! Swoją drogą liczbę lat związku z Ewą udało mi się ustalić z Mieczysławem dopiero po serii dodatkowych pytań—doszedł do 30. Zapytana o to w końcu Ewa dodała do tej trzydziestki jeszcze rok. Mieczysław jako artysta nie przywiązuje specjalnej wagi do takich szczegółów, Ewa nie była więc zdziwiona pytaniem swego męża.

Mieczysław twierdzi, że poderwał ją na zdjęcie. Pewnie to prawda.

— Powiem Ci dzisiaj po cichu, że masz szczęście, że Ci się ta Ewa dała poderwać. Tworzycie świetną parę, wiesz, jak wiele jej zawdzięczasz. To dobra chwila, by jej podziękować. Dziękujemy Ci, Ewo, za męża! Bez Ciebie nie byłby na pewno tyle wart, ile jest.

Za swój największy zawodowy sukces Mieczysław Wieliczko uważa Nagrodę Grand Prix oraz dyplom im. Jana Buthaka za wybitne osiągnięcia artystyczne w fotografii ojczystej za rok 1980. Nie wzięłyby w tym Biennale udziału, gdyby nie Witold Sułkiewicz, kolega z Warmińsko-Mazurskiego Towarzystwa Fotograficznego. To on sam wybrał prace Mieczysława i sam wystąpił je organizatorom do Kielc. Kiedy wiosną 1981 r. nasz Laureat zastał w drzwiach informację o przekazie pieniężnym, udał się na pocztę. Gdy okazało się, że ma odebrać 15 tysięcy złotych, uznał to za pomyłkę i bojąc się, że trzeba będzie te pieniądze kiedyś zwrócić, odmówił ich przyjęcia! W drodze do domu nurtować go jednak zaczęło pytanie, kto mógł mu takie pieniądze przestać choćby nawet i omyłkowo? Wrócił, dowiedział się, że to nagroda za Grand Prix, odebrał je i kupił wymarzony aparat — Pentaxa.

Lata 1980-1983 sypnęły nagrodami. W tym krótkim czasie został laureatem ponad trzydziestu konkursów, jego nazwisko stało się znane miłośnikom fotografii w całym kraju, jego prace spotkały się z uznaniem najlepszych polskich fotografików, od 1985 r. kolegów Mieczysława ze Związku Polskich Artystów Fotografików. Jak stwierdził w książce *Zasmakuj w Warmii...*, jurorzy wysoko oceniali jego zdjęcia „pewnie też dlatego, że piękna, niezwykle fotogeniczna jest sama Warmia”.

„Pieszko — wspomina w *Zasmakuj...* dalej — i rowerem przemierzyłem kilometry bezdroży, byłem w najmniejszych nawet laskach, poznałem każdą kępę śródpolnych drzew. Nie mogłem się tym otaczającym pejzażem nasycić. We mgle, po rosie, w deszczu i w śnieżycy, o każdej porze dnia i roku, aż doszło do tego, że potrafiłem na zdjęciach innych osób określić miejsce ich powstania” (...) Warmia jest kameralna. Wszystko skrojone w ludzkim wymiarze: woda, pola i lasy, czerwone dachy domów, teren mocno pofałdowany, z kępami drzew i starymi gruszami na miedzach, obsypany wiosną białym kwieciem tak gęsto, że gałęzi nie dojrzysz”.

Gdy mama Wieliczkowa zobaczyła w latach siedemdziesiątych wykonane przez niego zdjęcia warmińskiego lasu, krzyknęła: „Ten las jest taki sam, jak w Wasiliskach, brakuje tylko duchów!” Te słowa zapadły Mieczysławowi w pamięć. Twierdzi, że, fotografując, szuka tych duchów do dzisiaj.

Mistrz Wieliczko opisuje Warmię i Mazury aparatem. Jak mówił w rozmowie

z Ewą Zdrojkowską, najważniejsza jest dla niego ziemia, na której mieszka. Najłatwiej jest mu ją zrozumieć, najłatwiej dotrzeć do jej najgłębszych tajemnic.

Mottem jego pracy i pasji, fotograficznym credo, są strawestowane słowa Jana Buthaka, nestora polskiej fotografii, założyciela Związku Polskich Artystów Fotografików: „Otaczający nas świat nigdy nie jest tak piękny, jak jego odbicie w duszy fotografa”.

Fotografowanie jest dla niego zapisem światła, pisanem światłem. Za najważniejsze w fotografii uważa dokumentowanie zmian, od lat cały swój czas poświęcił pejzażowi, uważając, że fotografia pejzażowa spełnia to kryterium idealnie. Najważniejsza w każdym ujęciu jest dla niego prawda.

W wywiadzie dla jednego z internetowych portali Mistrz Wieliczko tak mówił o swojej pracy: „Z aparatem pracuję od wschodu do zachodu słońca, jeśli są tylko sprzyjające warunki świetlne. Fotografowanie pejzażu pochłania masę czasu i wymaga wielkiej mobilizacji do pracy. Bez względu na to, jaka jest pora roku, czy są to święta, czy dzień powszedni, wyjeżdżam z domu z aparatem, niekiedy i dwie godziny przed wschodem słońca, aby dotrzeć do upatrzonego wcześniej miejsca, odległego od domu nawet i ponad sto kilometrów.

Receptą na sukces jest praca, ba, ciągła gotowość do jej podjęcia. Niektórzy nazywają tę gotowość niepokojem twórczym. Ciągłe poszukiwanie tematów, wylanianie ich z otaczającego nas bałaganu i zaplanowanie sposobu realizacji to jest właściwa droga do osiągnięcia zamierzonego celu. Celu nie osiąga się od razu. Wielokrotne odwiedzanie wybranego obszaru fotografowania pozwala przybliżyć się nam do tego, co sobie zaplanowaliśmy. Na tym etapie wszystko zależy od naszej wytrwałości i przewidywać światła, które może się zdarzyć. Wiele tematów realizujemy latami, nie widząc końca. Inne zadowalają nas nawet po pierwszym podejściu”.

Dzisiaj Mistrz Wieliczko może pochwalić się kilkudziesięcioma nagrodami w konkursach fotograficznych, kilkunastoma wystawami indywidualnymi w Polsce, Niemczech i Francji, udziałem w kilkunastu wystawach zbiorowych, osiemnastoma albumami i tysiącami swoich prac zamieszczonych w kilkudziesięciu wydawnictwach zbiorowych. Jego albumy zatytułowane *Warmia i Mazury*, *Las*, *Warmia* oraz *Światło* otrzymały wyróżnienia na Międzynarodowych Targach Książki w Warszawie w „Konkursie PTWK na Najpiękniejszą Książkę Roku”.

Nasza współpraca na polu wydawniczym rozpoczęła się w 1992 r. od kalendarzy. Jeden z nich, noszący tytuł „Mazury 1993”, przygotowany we współpracy także ze śp. Ryszardem Czerwińskim, do dzisiaj uważany jest za jeden z najpiękniejszych powojennych polskich kalendarzy. Od ośmiu lat Mieczysław jest stałym współpracownikiem naszej Oficyny. Jego zdjęcia ozdobiły nie tylko wspomniane już książki *Zasmakuj w Warmii* i *Wierzenia mazurskie*, ale także m.in. *Czarci Ostrów*, czyli *Wielki zbiór podań ludowych z Mazur*, *A Brief History of Warmia and Mazury* — anglojęzyczną historię regionu czy *Zasmakuj w Mazurach*. Obecnie pracujemy razem nad książką o Puszczy Piskiej. Nadesłane do niej zdjęcia Mistrza Wieliczko są jak zwykle znakomite.

Lubię pracować z Mieczysławem. Zawsze mogę liczyć na to, co jest

wydawcy najbardziej potrzebne: materiał mistrzowskiej jakości, w wymarzonych ujęciach, często sam w sobie stanowiący oddzielną opowieść.

Mógłbym w tym miejscu przywoływać wielu teoretyków fotografii, ze względów czasowych ograniczę się do jednego. Don McCullin twierdzi, że „fotografia nie jest związana z patrzeniem, lecz z czuciem. Jeżeli nie czujesz nic w tym, na co patrzysz, nigdy nie uda ci się sprawić, aby ludzie, patrząc na twoje zdjęcia, cokolwiek odczuwali”.

Zgadzam się z tym twierdzeniem. Zdjęcia Mistrza Wieliczko nie pozostawiają nas obojętnymi. Mam, co ja mówię „mam”, mamy szczęście na co dzień z nimi obcować, obcować z Jego mistrzowskim Czuciem.

Ludzie żyjący z umiejętności pisania zazdroszczą dobrem fotografom. Ja czasem zazdroszczę Mieczysławowi. Zdarza mi się bowiem pochylać bezradnie nad Jego pracami. Patrzę i wiem, że choćbym nie wiem, jakich słów użył, to mój opis trącić będzie grafomanią.

Myślę, że jeśli Bóg jest i twittuje, jeśli ma czas i ochotę, by się z nami w ten sposób komunikować, to jego twittami są właśnie zdjęcia: ujęte w kadrze chwile, których człowiek nie jest w stanie opisać słowami.

W przywoływanej tu już kilka razy książce *Zasmakuj w Warmii*, której Mieczysław jest jednym z dwunastu głównych bohaterów, kończy on swą wypowiedź tak:

„Urodziłem się na Warmii i jestem z tego dumny. Fotografując Ją, staram się, aby i ona była dumna ze mnie”.

Czcigodny Laureacie,

Mistrzu Mieczysławie Wieliczko,

Drogi Przyjacielu,

w dniu 9 listopada 2016 r., w Salach Kopernikowskich olsztyńskiego zamku, podczas uroczystości wręczenia Ci Nagrody Prezydenta Olsztyna im. Hieronima Skurpskiego, ośmielę się, w imieniu tu zgromadzonych, w imieniu wszystkich, którzy Warmię kochają, powiedzieć Ci, że Warmia jest z Ciebie dumna! I dziękuję Ci za to, co dla niej już zrobiłeś. I prosi Cię, byś o niej nie zapomniał.

## ALEKSIEJ ALIOCHIN

Wiersze przełożył Krzysztof D. Szatrawski

## WIEJSKIE LOTNISKO

kiedy rejsowy samolocik  
zniechęca na skraju betonowej polany  
lotniskowy pies  
porzucając schronienie pod żywoptłem  
przenosi się pod skrzydło  
aby cień się nie marnował

## MOSKWA-WARSZAWA

Polak  
z kupą toreb  
dosiadł się nocą w Smoleńsku  
i do rana wypełniał wypełniał wypełniał  
deklarację celną

## MUZEUM CHAGALLA

cała Biblia  
zmieściła się w żydowskim miasteczku  
z autentycznymi Abramem, Dawidem, Łazarzem  
rymarzem, piekarzem, kowalem  
rozwiązła Rachab  
nawet arką Noego, która na skrzypiących kołach  
odjeżdża na jarmark

później  
będą także Rzymianie w skórzanych kurtkach

## RABELAIS

najbardziej zrozumiałym  
docenionym w pełnej krasie  
obszarem  
współczesnej francuskiej literatury

## MIŁOŚĆ

zwyczajnie  
idziesz ulicą  
i zderzasz się spojrzeniem  
twarz kobiety naprzeciw

wszystko się zawaliło  
brzęk wypadających szyb  
runęła ściana sypialni

a pod gruzami  
dwa ciała

## ELEGIA

kopiąc w szafie  
znalazłem starą marynarkę  
pokazała  
jak bardzo i ja się postarzałem

przypomniała  
o chusteczce w kieszeni na piersi  
ze śladem szminki

i pomachała rękawem  
na pożegnanie

## SZKOLNE WAKACJE

dzieci spróbowały miłości

chodzą po chmurze  
w której grzęzną nogi

jak dorośli  
kiedy boso wychodzili z raję

## CHOPIN

czarny motyl  
przysiadł na wykrochmalonej piersi  
pianisty

znów ta muzyka

## CHOROBA

kaszlę, kaszlę  
a odpowiadają mi psy sąsiadów

## SZEKSPIR

drzewo na wietrze  
krzyczy rękoma jak głuchoniemy

## SZPITAL

to szkoła  
gdzie ludzie się uczą  
nie być

## SPÓŹNIONY PASAŻER

wszyscy poszli w XXI wiek

a ja tutaj  
stoję sam

i się rozglądam

## W SAMYM ŚRODKU – GALERIA VARIARTA:

## Łukasz Zedlewski

Łukasz Zedlewski – ur. 1 maja 1989 r. w Olsztynie. Mieszka i pracuje w Miodówku koło Olsztyna. Absolwent Wydziału Malarstwa Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie. Dyplom z wyróżnieniem w Pracowni Malarstwa prof. Stanisława Bają, aneks z rysunku w Pracowni prof. Marka Wyrzykowskiego, aneks z grafiki warsztatowej w pracowni prof. Rafała Strenta. Od 2013 r. pracuje na stanowisku asystenta Katedry Ogólnoplastycznej Wydziału Konserwacji i Restauracji Dzieł Sztuki ASP w Warszawie.

Stypendysta Krajowego Funduszu na Rzecz Dzieci w latach 2005-2008. W latach 2010 i 2016 stypendium artystyczne Marszałka Województwa Warmińsko-Mazurskiego. Nagroda Fundacji Marka Marii Pieńkowskiego w 2009 r. Nagroda w konkursie im. Barbary Ostaszewskiej w 2011 r. Laureat: finałowej dziesiątki konkursu „Najwybitniejszy Młody Malarz Pierwszej Dekady XXI Wieku” 2011 r., Wyróżnienia Honorowego w Konkursie Inicjatywy Entry, Warszawa 2013 r. oraz wystawy Coming Out Najlepsze Dyplomy ASP w Warszawie 2013 r. Brał udział w wystawach zbiorowych m.in. w Brukseli, Berlinie, Kownie, Warszawie, Tarnowie, Płocku. Autor dziewięciu wystaw indywidualnych m.in. w Bisztynku, Dobrym Mieście, Lidzbarku Warmińskim, Olsztynie, Wyszakowie i Warszawie.

Twórczość Łukasza Zedlewskiego mieści się w najlepszej tradycji malarstwa, a jednocześnie zachowuje odrębność i indywidualny charakter. Tematyką jego prac jest między innymi konkretne miejsce oraz bliska z racji położenia domu rodzinnego i przeżyć przestrzeń natury – żywioł spokojnej wody jeziora, nad którym znajdują się kolorowe domy niewielkiej, zwartej miejscowości, otoczone lasem i niezwykłym światłem. Tą warmińską, niemal bajkową rzeczywistość Łukasz Zedlewski maluje w wielu wersjach, o różnych porach roku, z całym jej bogactwem malarskich pretekstów. Tam istnieje źródło jego twórczych przeżyć i inspiracji. Sposób malowania jest swobodny, momentami żywiołowy, ekspresyjny, a język malarski posiada specyficzny, indywidualny charakter. Nastrojowa przestrzeń pejzażu rodzinnej wsi zimą, latem lub jesienią posiada swoje światło. Światło, jeden z atrybutów malarstwa, jest dla autora – poza kolorem, którym posługuje się swobodnie, ale w oparciu o obserwację natury – wartością metaforyczną, uosabiającą ducha bliskiego mu miejsca. Jest w tym zachwyt nad swoim miejscem, nad urodą i bogactwem, zachwyt nad możliwością, jaką daje malarstwo. Bezpośredniość malowania z natury jako wspaniała przygoda odkrywania niuansów i subtelności, połączona z wewnętrznym zarem i pasją autora, daje znakomity i niepowtarzalny rezultat w postaci wyjątkowego malarstwa, szczerzego i autentycznego. Jego twórczość posiada cenną naturalność, własną prawdę, bowiem rodzi się z konkretnego, jak każda ważna sztuka...

Prof. Stanisław Baj

ALEKSIEJ ALIOCHIN (ur. 1949 w Moskwie) poeta, prozaik i krytyk literacki. Od początku lat 80. konsekwentnie pisze wolnym wierszem. Od 1994 roku wydaje kwartalnik Arion poświęcony wyłącznie poezji. Prezentowane wiersze pochodzą z książek (Moskwa 2005) oraz (Moskwa 2014).



# ŁUKASZ ZEDLEWSKI Szkota w Miodówku



Łukasz Zedlewski, Rozbiórka szkoty w Miodówku I, 110x130, olej na płótnie



Łukasz Zedlewski, Rozbiórka szkoty w Miodówku II, 110x130, olej na płótnie

EWA KURMIN red. IWONA BOLIŃSKA-WALENDZIK

## Dom na Oficerskiej

Mieszkam w dzielnicy o ponadstuletniej tradycji, niegdyś przepięknej. Zamieszkałam na ul. Oficerskiej w roku 1975. W tym czasie domy były szare, ale architektura została zachowana. Ogródki były uporządkowane. Ruch samochodowy jeszcze był mały, miał charakter osiedlowy. Toczyło się życie sąsiedzkie, byliśmy bardzo otwarci na siebie. Wiele rodzin miało dzieci w podobnym wieku i bawiły się razem, życie toczyło się dosłownie na ulicy. Domów na naszym osiedlu było około stu, nie pamiętam, ale chyba w każdym były dzieci. Umawiały się i razem chodziły do szkoły, razem spędzały czas. Rodzice odprowadzali dzieci do szkoły może ze dwa tygodnie, potem zbierały się już same. Remonty w tym czasie były bardzo ograniczone, bo przede wszystkim nie było dostępu do materiałów. Dopiero na początku lat 90., gdy zaczęły pojawiać się dobre kleje, farby, płytki i inne akcesoria, mogliśmy zrealizować nasze pomysły remontowe, dać wyraz potrzebom estetycznym.

Przede wszystkim chciałam zwrócić uwagę na historię tego miejsca. Jakubowo było częścią miasta tętniącą życiem. Rozwinęło się na początku XX wieku. W 1910 r. była tu Wystawa Przemysłowa, po której na terenie parku pozostało wiele lokali kulturalnych i gastronomicznych. Tu spotykali się mieszkańcy Olsztyna. Jeszcze w latach 50. i 60., a nawet w 70. przyjeżdżało się do Jakubowa do parku, na koncerty, imprezy sportowe, harcerskie i kulturalne. W każdą sobotę i niedzielę coś się działo. Z lat 70. pamiętam przepiękne, rozczulające obrazki, kiedy całe grupy dzieci w przebraniach przyjeżdżały zimą porą na organizowane przez instruktorów w WDK-u „choinki”. Obecnie jest tu pustynia.

Jeśli chodzi o samą ulicę Oficerską, to przed wojną były tu budowane domy dosyć wystawne — wille. Najstarszy zachowany dom wybudowany jeszcze w 1890 r. to obecna „trójka” (informacja za: Andrzej Rzempełuch, *Architektura i urbanistyka Olsztyna 1353-1953*). Natomiast nasz dom, pod numerem drugim, datowany jest na rok 1920 (ibidem).

Autorem projektu był Thomas August Feddersen. Architekt pozostawił w Olsztynie wiele realizacji domów prywatnych (np. dwie wille na naszej ulicy) i budynków użyteczności publicznej, takich jak gmach teatru, kościół i klasztor Franciszkanów, elementy rozbudowy Szpitala Mariańskiego.

Pierwszym właścicielem tego budynku był żydowski kupiec Georg Hirschfeld, który razem z bratem posiadał na ul. Prostej dom handlowy (informacja za: Alojzy Śliwa, *Spacerki po Olsztynie*). Pan Hirschfeld mieszkał tutaj samotnie do 1938 r. Wojna na naszej ulicy zaznaczyła się między innymi w ten sposób, że niemiecki właściciel budynku numer 1 spalił go, mówiąc, że nie odda domu Sowiecom. Dlatego ul. Oficerska zaczyna się od numeru 1a. Po wojnie dzielnica ta była bardzo niebezpieczna. Ludzie osiedlali się bliżej centrum. Tu w przychodni stacjonowała początkowo armia radziecka. W tym okresie dom zamieszkiwali leśnicy i dzięki temu nie został zdewastowany tak jak inne, w których nikt nie mieszkał.

Moja rodzina do Olsztyna trafiła przez przypadek. Tata w 1946 r. jechał z Wilna do Gdańska ze swoją bratową. Zatrzymał się tutaj pociąg, on wyszedł na spacer i miasto tak mu się spodobało, że wrócił. Podobnie i ja. Studiowałam w Trójmieście, tam rozpoczęłam ciekawą pracę w PLL LOT, często odwiedzałam Olsztyn i ten dom mnie zauroczył. Właścicielami całości jesteśmy od 2007 r.

W budynku jest wiele oryginalnych elementów, jeszcze sprzed wojny. Cała klatka schodowa z drewnianymi balustradami, stolarka drzwiowa, zachowane kafelki na ścianach i terakota w przedsionku, stiuki na suficie. W trakcie remontu stolarki drzwiowej znaleźliśmy fragmenty gazet z Königsberga z 1918 r. Jeden taki fragment mam oprawiony i wisi w kuchni. Natomiast w trakcie prac renowacyjnych dębowego parkietu znaleźliśmy zapisek, że był on ściągany z Berlina. Kiedy tu zamieszkałam, parkiety zamalowane były farbą olejną w kolorze jasnego lub ciemnego orzecha. Na początku zakrywałam go wykładzinami, ale po pewnym czasie parkiet został oczyszczony i polakierowany. Jest piękny, solidnie zrobiony, świadczy o wysokiej jakości pracy ówczesnych rzemieślników. W latach 80. zdarzało nam się chodzić na tzw. wchodziny do świeżo oddanych mieszkań, gdzie szczególnie zabawnie wyglądały już po miesiącu od wykonania „falujące podłogi”. Na piętrze odśloniliśmy w kilku miejscach cegły z wplecionymi belkami, tzw. mur pruski. W tym domu od początku było centralne ogrzewanie, świadczy o tym pięknie zdobiony kaloryfer. Oczyszcziliśmy go i daliśmy do pomalowania znajomemu rzemieślnikowi. Dziś zdołał przedpokój, wita gości.

Również niektóre meble mogą być oryginalne. Oczywiście w latach 80. zdarzyło mi się coś kupić, np. segment typu Alik do pokoju syna, ale wcale tu nie pasował ze względu na wysokość i wielkość pomieszczeń. Klimat, atmosfera tego domu jest wyjątkowa, sprawia, że wewnątrz bardzo dobrze się mieszka. Dom jest takim moim azylem, miejscem wyciszenia. Pierwszy właściciel mieszkał tu niecałe dwadzieścia lat, ja już ponad czterdzieści i nachodzi mnie czasem refleksja związana z tą piękną architekturą, że buduje się dom, a potem nie ma się wpływu na jego losy.

Mój dom jest częścią tej pięknej dzielnicy, ale mam wrażenie, że dziś z każdej strony jesteśmy osaczeni. Las jest zaśmiecany. Obok biegnie „krajówka”. Naszą ulicą przemieszczą się ciężki sprzęt i samochody z dużym tonażem. Przez nieprzemyślane decyzje niszczone jest środowisko, w którym mieszkamy od lat — domy, infrastruktura drogowa, przepiękna stara jesionowa aleja. Na końcu ulicy w latach 70. powstało PWiK. Początkowo miała to być mała inwestycja, dziś jest naszym utrapieniem.

My, jako mieszkańcy, dbamy o nasze posesje, natomiast władze powinny zadbać o utrzymanie charakteru i jakości życia na takich osiedlach jak nasze, o ład przestrzenny. Baza transportowa może być w każdym miejscu. Cafe magiczne Zatorze jest dziś trochę na uboczu planów miasta, a przez to i nasz kawałek Olsztyna.

Zawsze trzeba o coś dbać w życiu, pielęgnować, żeby działało, dobrze wyglądało, rosło.

Zawsze myślałam, że to miejsce będzie taką moją enklawą. Jednak gdy zwracamy uwagę na otoczenie, na dzielnicę, widzimy sporo negatywnych rzeczy. Zachwyca mnie to, że sto lat temu ktoś potrafił stworzyć budynek z takimi detalami i dbałością o szczegóły, ale nie potrafię zachwycać się nim samym, gdy widzę, jak otoczenie jest dewastowane.

Dom jest piękny, ale... myślę, że mieszkańcy Olsztyna 100 lat temu byli bardziej usatysfakcjonowani miejską polityką przestrzenną.

Obecnie władza myśli o Olsztynie jako o „metropolii”, natomiast nas, mieszkańców, interesuje przede wszystkim równy chodnik, ulica bez dziur, ten ład przestrzenny, którego moim zdaniem brak. Oni skupiają się tylko na pewnych miejscach i nie dbają o zrównoważony rozwój miasta. Śmieję się trochę, że komuna cały czas zajmowała się planowaniem, więc za dużo u nas nie zepsuła. Czy mamy za duże wymagania? Chyba nie. Chcielibyśmy, aby urzędnicy tak dbali o przestrzeń miejską, jak my dbamy o swoje posesje. Mówimy o obywatelskiej postawie, a kiedy jesteśmy aktywni, to okazuje się, że nie ma się prawie żadnego wpływu na to, co nas otacza. Dzielnica musi mieć swój charakter, nic nie może funkcjonować w oderwaniu, powinniśmy dbać o to, co jest wartościowe i piękne w naszym mieście.



Fot. z archiwum E. Kurmin

ANITA ROMULEWICZ

## Pisanie książek dla dzieci to nie jest łatwy chleb

Kiedy pod koniec 2011 r. ukazała się niewielka publikacja dla dzieci pt. *Mały Feluś wyrusza w świat*, z prasy lokalnej można było dowiedzieć się o pomysłodawcach, autorach i okolicznościach jej powstania. Podano m.in. do wiadomości, że owa książeczka-kolorowanka wydana staraniem barczewskiego Stowarzyszenia Inicjatyw Obywatelskich miała za zadanie spopularyzować postać Feliksa Nowowiejskiego i tym samym wpisać się w obchody Roku Nowowiejskiego. Tymczasem na 2010 r. przypadła 100. rocznica skomponowania i prawykonania *Roty* autorstwa tego wspaniałego kompozytora. Dlatego też obok *Hymnu warmińskiego* na końcu książeczki znalazły się nuty do *Roty* z tekstem Marii Konopnickiej. Właściwy jubileusz przypadł natomiast na 2016 r., będący jednocześnie 70. rocznicą śmierci muzyka. Naturalnie nie zmienia to faktu, że o Nowowiejskim można i należy mówić dużo. Jest to postać wybitna w skali europejskiej i z pewnością zasługuje na popularyzację nie tylko „od święta”.

Już w roku wydania egzemplarze *Małego Felusia* zostały przekazane bezpłatnie do przedszkoli i szkół na terenie gminy Barczewo. Z założenia publikacja miała być nie tylko książką-zabawką, w której dzieci mogły kolorować proste rysunki przygotowane przez Alicję Żygadło. Poza uroczą postacią samego Feliksa młodzi czytelnicy mieli okazję poznać wiele faktów z życia kompozytora. *Mały Feluś* miał być edukacyjnym prezentem, który w prosty i przystępny sposób przedstawi sylwetkę oraz najistotniejsze fakty z życia kompozytora z Warmii.

Teraz, kiedy wiele szkół, bibliotek i domów kultury aktywnie włącza się w obchody Roku Nowowiejskiego, książeczka Katarzyny Kowalczyk jest ze wszelki miar potrzebna. Jak dotychczas to jedyne wydawnictwo o tej tematyce skierowane do najmłodszych. Pomyślana jako wesołe wierszyki okraszone obrazkami, opatrzone nobliwym dodatkiem, wydaje się spełniać powierzoną jej przez inicjatorów rolę.

Zaproponowana książeczka z całą pewnością stała się inspiracją dla nauczycieli i bibliotekarzy, co świadczy jedynie o dużym zapotrzebowaniu na tego rodzaju pomoce dydaktyczne. W filiach Miejskiej Biblioteki Publicznej w Olsztynie oraz w Muzotece Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej w Olsztynie *Mały Feluś* na stałe zagościł w ofercie skierowanej do najmłodszych. Dzieci kolorują, dopasowują fragmenty wiersza do ilustracji, słuchają hymnów w wykonaniu na różne instrumenty, po prostu dobrze się bawią. Jak wiele się nauczą o wielkim dyrygencie, organistrze i kompozytorze i czy w przyszłości docenią jego twórczość muzyczną, zależy w dużej mierze od inwencji oraz zaangażowania prowadzących zajęcia. Zadanie jest o tyle utrudnione, że publikacja, jakkolwiek ważna i potrzebna, ma także istotne niedociągnięcia.



Przygotowując się do zajęć z dziećmi, należy przede wszystkim sprawdzić, z którego wydania dany egzemplarz pochodzi. Pierwszy z 2011 r., w którym autorka podpisała się pseudonimem Iwa Wilga, zawierał błąd dotyczący liczby rodzeństwa Feliksa Nowowiejskiego i drobne uchybienia interpunkcyjne. Chwali się, że zostały one niemal natychmiast poprawione, a kolejne wydanie z 2012 r., opublikowane już pod prawdziwym nazwiskiem autorki, tych błędów nie ma.

Zawarta na pierwszych stronach informacja, iż mamy do czynienia z „książeczką do kolorowania przeznaczoną dla dzieci w wieku przedszkolnym i wczesnoszkolnym” wyraźnie definiuje adresata. Jak można zakładać, większość czytelników tej pozycji nie poradzi sobie samodzielnie z tekstem, skupi się natomiast na przekazie graficznym. Treść wymagać będzie pomocy dorosłego pośrednika. Tymczasem zawarty na końcu książki słowniczek terminów muzycznych, mający ułatwić zrozumienie tekstu, opracowany jest językiem encyklopedycznym i wydaje się nieadekwatny. Owszem, rodzic, nauczyciel czy bibliotekarz skorzysta z podpowiedzi, ale nadal trudno będzie bez ilustracji wytłumaczyć przedszkolakom, gdzie znajduje się i jak wygląda bezprogowa podstrunnica czy klinowy naciąg.

Tym, co bezsprzecznie dyskwalifikuje książeczkę jako utwór poetycki, jest warstwa literacka. Trudno mówić nawet o wierszu. To raczej prosta rymowanka, którą Józef Jacek Rojek w swoim omówieniu nowości wydawniczych opisał niezwykle trafnie: „No cóż, pomysł świetny i ubogacający postać, tyle że z rymowaniem i opisem tej postaci jakby nie do końca sławetnie uczynionym. Stąd taki że pożytek: (...) słowa: a jakże do uczenia się i poprawiania rymów, rytmów i logiki wiersza rymowanego”<sup>1</sup>. Zdecydowanie Feliks Nowowiejski, człowiek czuły na piękno melodii, harmonię słowa z muzyką, poczułby się zawiedziony. Pozostaje jedynie mieć nadzieję, że książeczka, choć nie pozbawiona walorów, będzie wykorzystywana przez dorosłych pracujących z młodym czytelnikiem z dużą rozwagą i zdecydowanie pomijana przy recytacjach i inscenizacjach. Realizowanie tak ważnego celu, jakim jest nauczanie wiedzy o regionie, nie powinno odbywać się przy jednoczesnym promowaniu słabej literatury. Dzieci, a szczególnie te najmłodsze, wymagają doskonałego metrum i pięknego rymu, o jaki nietrudno przecieć w bogatej polszczyźnie.

Minęło już kilka lat od kiedy ukazały się oba wydania *Małego Felusia*. Chociaż początkowo zakładano, że zainicjuje on regionalny cykl biograficzny skierowany do dzieci, to jednak pomysł nie został podtrzymany. Jak na razie tylko Mikołaj Kopernik doczekał się kilku starannie przygotowanych publikacji. A szkoda. Zasłużonych i jednocześnie niesamowicie barwnych postaci, które zapisały się w historii Warmii i Mazur, przecieć nie brakuje.

<sup>1</sup>I.J. Rojek, *Regionalia*, „Tygiel” 2012, nr 1, s. 122.

Katarzyna Kowalczyk, *Mały Feluś wyrusza w świat*, wydanie II poprawione, Barczewo 2012.

KAJA WILENGOWSKA

## Nowi

Czarne aż do lustrzanego połysku pantofle, wyprasowany idealnie frak, ufryzowane włosy. Szyk i elegancja były od niespokojnego przed wielkim koncertem dyrygenta. Był rok 1912. Urodzony w niewielkim Barczewie Feliks Nowowiejski miał owego wieczoru prowadzić nowojorską orkiestrę w stynnej na cały świat sali koncertowej Carnegie Hall. Taksówka już czekała przed hotelem. Zdenerwowany dyrygent wsiadając, wycedził do kierowcy:

— Good evening. Car Nager hall... Please.

— What? — silny pięćdziesięciolatek o nader ciemnej karnacji odwrócił się do wypchnionego pasażera, patrząc nań z niedowierzaniem.

— Call Nager home... - dyrygent niepewnie powtórzył w swym przekonaniu poprawnie wypowiedzianą nazwę sali koncertowej na Manhattanie.

— What...? Ok, Sir.



Ruszyli. Oburzony kierowca i nieświadom pomyłki dyrygent, ruszyli w wieczorną poświatę nowojorskich ulic. Dokąd? Czy dyrygent dojedzie na swój wymarzony koncert? Czy Nowowiejski wiedział, jak obraźliwym określeniem wobec ciemnoskórych jest słowo Nager? Jak kierowca odpłaci się pasażerowi?

*Quo vadis?* — tytuł swojego oratorium powtarzał w głowie Feliks Nowowiejski, przemierzając yellow cabsem nieznaną chyba jeszcze nikomu zakątki Nowego Jorku. Wszystkie budynki wyglądały tak samo, a zza szyby widać było błyski świateł setek aut. Taksówkarz zatrzymał się przy szlydzie „Bronx Zoo” i ruchem ręki kazał dyrygentowi opuścić pojazd. Stanął na skraju ulicy w nadal nienagannym fraku, lśniących butach i westchnął głęboko. Wieczór zapadł niespodzianie szybko, a do koncertu zostały jedynie 53 minuty. Do koncertu, który odbędzie się w sali Carnegie Hall na Manhattanie, a gdzie jest ten Bronx? Gdzie jest Pan Nowowiejski?

Gdzieś za płotem zaryczał słoń, ale wielkomięskie światła nie dawały złudzeń, że to nie dżungla i nie można sobie pożartować. Nowy, nieznaną Jork i trzydziestopięcioletni dyrygent z odległego kontynentu z niewielką ilością gotówki w kieszeni i silną potrzebą znalezienia się na Manhattanie odległym o..., no właśnie... Jak daleko? No jak to się mogło stać? „Call Nager Home...” — ale jak to się mogło stać? — „Trenowałem wymowę cały poranek... i dlaczego to tak ubodło kierowcę?” Znów zaryczał słoń, ponagłajaco, trzeba gnać, trzeba na koncert, tyle przygotowań, to się musi udać... 47 minut jeszcze.

Szedł prowadzony szumem metra pod stopami, każdy dźwięk był muzyką, pisk opon, mrucznie silników aut, kroki przechodniów i wciąż gdzieś wycie syren, szedł dalej w kierunku coraz głośniejszych i dziwniejszych doznań. Chłup w kałużę lakierowanym pantoflem i zobaczył stację metra z pociągami na Manhattan. Pod ziemią szum stał się jednostajny, łagodzony rozmowami pasażerów, z rytmu wybijały go denerwujące dzwonki sygnalizujące przystanek. Po kilkunastu dzwonekach ta muzyka zrobiła się nieznośna, zepsuta, trzeba wysiadać. A na górze? Znów ciekawiej, syreny, klaksony, kroki... I nagle wiatr... otwarta przestrzeń Central Parku zapraszała do złapania oddechu. Tam zatrzymał się na niewielkim wzniesieniu, gdy za plecami miał tylko przestrzeń, a przed sobą symfonię miejską, podniósł do góry ręce, chcąc dyrygować i z tych szumów, pisków, kroków, plusków i szelestów uzyskać harmonię. Zamknął oczy. Wiatr pomógł mu stworzyć muzykę doskonałą z nowojorskich dźwięków, swoistą epifanią do słuchania... jakieś bliskie i nieznanne pytanie zdawało się mu slysząć, a wnet jeden dźwięk zaczął wybijać się bardziej — waltornia, tak, to musi być waltornia... Pobiegnij w jej kierunku. Zbliżając się, słyszał coraz więcej instrumentów symfonicznych...

*Quo vadis?* — brzmiało miasto.

OSWALD KOWALEWSKI, red. MONIKA KOWALEWSKA

## Obyczaje świąteczne

### WIGILIA

Zawsze w wigilię chodzili po wsi sługi z szemlem. W trójkę chodzili – dwóch i koń. To byli takie chłopcy, że tam nie podskoczysz. Bo za sługów to już takie starsze chodzili, po 30 lat. Mieli kaptury pozakładane, maski i brody, że oczy tylko było zidać i zawsze robili rumor straszliwy: skakali, rycieli, jak ten koń, tak: yhaha. Jedan łeb od konia trzymał, ta łopotka (drewniany podłużny kosz, który miał imitować koński zad) miał z tyłu za pas przyczepiony i białe płachto był zakryty cały, ten drugi z tyłu miał na drążku drewnianym takie paski od opony pocięte i gwoździkami powbijane i tym w ta łopotka, niby w konia, buch, ale jak strzelił tym kłojcem to bolało, a ten trzeci lotał i krzycoł: – Możesz pocier? Nie możesz? – Moga! – krzyczeli ze strachu. Wszyscy się ich bali. Ale jek sługi nie przyszli, to prezentów nie było. Dopiero po sługach były prezenty. W drugim pokoju był stół zastawiony, wszystkie talerze (prezentów nie kładło się pod choinką, ale na talerzach) już dla każdego były pełne, bo mama wcześniej obeszła dom w koło, wszystko talerze przygotowała, wyszła z powrotem i jek przyszła do nas to mózi, że zwierzętom jeść dała. W wigilie po wieczery, jek sługi wyszli, mama drzwi otworzyła, światło zapaliła, bo to jeszcze lampa z nafto wtedy była, i z ta lampo idziemy patrzeć – uuu jonu neja, stół zastawiony, a na nim rozmaite wyroby: ciastka, swojej roboty pieczone wszystko, na talerzu żeś dostał 10 czy 15 cukierków, jabłko, a jak była pomarańcza to był luksus.

Ja pamiętam, jek Hennes noga złamał, to pojechałem w styczniu do Olsztyna do szpitala i ja miał pomarańcza, to ja mu to pomarańcze powiozłem, bo to było coś specjalnego...

### CHOINKA

Choinka zawsze była. Nikt nie kupował, tylko szedł do lasu, kawałek choiny wycioł. Kiedyś to były na te klamerki świeczki wstawiane i wieczorem się kołędy śpiewało i po wszystkim to, żeby się tam coś nie stało, wszystko było zgaszone, tylko na ten czas, jak świętowało się, to świeczki się paliły. Jeszcze niektóre klamerki są, tu leżą gdzieś jeszcze u nas. Były bombki, cukierki wieszali, jabłka wieszali, co tam wszystko na tej choince. Jak żeś ją rozbierał, to

później żeś jadł to wszystko, ale były takie jeszcze sposoby, że siostra dajmy na to kawałek drewna w ten paperek zawinęła i cukierek wisi. Chcesz ugryźć a tu drewno, bo już cukierek zjadła. A zawsze było tak, że sama sknociła, a jek mama mówiła: kto to zrobił?, to siostra pierwszo zawsze odzywała się: to zrobił Oswald, to ja zawsze był winny za to.

### TRZECH KRÓLI

W Trzech Króli to Kozy rano chodzili. Do południa. Z kozami to chodziło po dwóch chłopaków, takie wszystko podlotki, 9-12 lat. Jedan przebrany był za koza i skakał, a drugi za pasterza – miał taki kij pasterski i na organkach tam i z powrotem tylko dmuchał, bo grać nie umiał. Takie rozmaite czapki się też zakładało. Czasami tak byli przebrane, żeś nie poznał kto to. Dostawali złotówka, albo dwa, albo jeszcze garść cukierków. Czasami to trzy pary naroz były, jedna weszła, a reszta stała przed domem czekała. I tak po koleju wszystkie trzy pary wchodzili do każdego. A wieczoram to Trzej Królowe chodzili. To były dziewczynki przeważnie, czasami się udało, że jakiegoś chłopca w środek wsadzili, i oni mieli szopka przed sobą i kadzidło, pomalowane były, poprzebierane. Wchodzili do domu i śpiewali „Dzisiaj w Betlejem”. Te najczęściej zarabiali, zawsze w puszkach mieli zrobione dziura i tam pakowali pieniądze. To jak od początku wsi szli, to w połowie już się do tej puszkki wpychało...

### SYLWESTER I NOWY ROK

Tam, gdzie rybaczórka teraz, tam była taka gospoda, z salą i sceną obrotową, i tam się bawili. Kiedyś to naprawdę wesoło tu było.

W Nowy Rok to psoty też robili. Na ten przykład kominy zastawiali. Kiedyś to opowiadali, że chłopcy stare poszli do jednej chałupy i okna wszystkie zastanili szmatami i normalnie drzwi jakieś od piwnicy, od stodoły albo z chlewa zdjęli i okna pozastawiali i ludzie w tej chałupie śpią i śpią, bo ciemno. Długo ta legenda trzymała, jak u nich spali dwa noce i dwa dni. A tu, gdzie był dom, co ten słomiany dach miał, to dyszel wsadzili do komina – po dachu weszli, bo to przez drabinę była na tym słomianym dachu, dyszel postawili, ten przód

od kotów na ten dyszel wsadzili, koła nałożyli i na kominie do góry był wóz. Opowiadali, że robili takie psotki. Albo jak zamarzyło było w Nowy Rok, to na środku jeziora wolnostojący kibełk stojął. Co te kasztany nie potrafili robić. Nam też nie raz bramę wynieśli i na jeziorze albo w krzakach albo gdzieś tam jeszcze szukalim. Jednamu to wóz wyprowadzili, to tyż się obudził i cały dzień chodził i szukał. Robili takie kawały, tylko że oni nie psuli tego. Ale jak tutaj na tym kominie pół woza siedziało, to teraz idź i zdejmi te koła. Oni jak czterech chłopca poszło, to dla nich to było fraszka – dyszel wyciągnęli, koła wsadzili i patrzysz – wóz wjeżdża w komin. Daj ty spokój. To takie dziadki po 80 lat były i takim rozrabiali, takim babciom, dziadkom, do młodych nie poszli.

W Nowy Rok Byry (niedźwiedzie) też chodzili, ale to dzieci. Jedan miał taki kozuch, taki do furmanki na zima, to rękawy wszystko powyciongoł, że na zewnątrz wełna była, to słomo żeśmy tak go jeszcze opętali, że on taki gruby był. Jak żeś zawsze chodzili, to ja tam tylko troszkę tą słomą przykręcony a on stojął w tym kozuchu z ta czopą tako. Oj jeny, ale jaka zabawa była, to było coś niesamowitego. Zawsze żeś coś tam dostali.

### WIELKANOC

A później to dopiero smaganie na Wielkanoc. Tam, gdzie dziewczyny były, to potrafili drabinę do domu przystawić, do góry wejść i kit zerwać w okach, szyba wyjąć i wejść do chałupy, żeby jeszcze w łóżku dziewczyny smagać. Po wojnie zaraz milicja była, jak się takie co zrobiło. Wodo tu nic nie było lane. Smaganie to było smaganie. Starsi mieli jałowiec, a takie dzieci to chodziły z witkami (młode gałązki brzożowe z małymi listkami). Jakbym poszedł mały z jałowcem, to bym nic nie dostał, a jak poszedłem, położyłem witki przed tantą i żeś poziedził: Schmack Ostern, Grün Ostern, gib Eier und Speck dann lauf ich gleich weg (smagam, zielonem smagam, daj mi jajka i słoniny, to ucieknę stąd), to żeś dostał dwa jajka i cztery cukierki. Jak żeś poszedł tylko tak leciutko dotknął nogi to dobrze, to było w porządku, jak przyszedł z jałowcem, to wygnęła. Ale to wszystko to było może rok, dwa zaraz po wojnie, ja miał 11 czy 12 lat i koniec, ja już później nie chodził. Jek wyjechali te wszystko nasze za granice, to napływ nie chodził. Z tych, co przed wojno rodzeni, to kilkanaście osób teraz zostało. Toć w Pluskach to szukasz kogoś, żeby swojego znaleźć. Ile ludzi, co się nie pamięta... A z tych, co wyjechali, to je tak, że nikt się nie przyzna, nikt... nikt się nie przyzna skąd on je...

### Post Scriptum

Dziś w Pluskach nie chodzą już Sługi, Kozy czy Byry. Zanikł także zwyczaj noworocznych psot. Mało kto chodzi po smaganiu do sąsiadów. Jeśli któraś z tych tradycji jest nadal kultywowana, to raczej w gronie rodzinnym. Ludzie nie znają się już jak dawniej. W lesie nieopodal wsi powstało luksusowe osiedle domków letniskowych i wielki hotel spa. Na ulicy, która zastąpiła piaszczystą drogę, nie usłyszysz już gwary, bo niewielu zostało tych, którzy ją pamiętają i dla których była językiem zupełnie naturalnym, za to spotkać można kuracjuszy w białych szlafrokach i wczasowiczów w strojach kąpielowych. Na górze Kuka, gdzie według legendy, gdy wrzuci się kamień do dziury, można usłyszeć odgłos tłuczonych dachówek zakopanego zamku, jest już coraz mniej drzew, a coraz więcej domów. Jeśli chcemy poczuć magię Warmii, pozostaje nam zatem słuchać tych opowieści, które snują ludzie starsi, pamiętający tę barwną krainę z jej zwyczajami, tradycjami i klimatem, którego dziś nie da się już odtworzyć. Chciałabym podziękować mojemu wspaniałemu dziadkowi, który w wieku 81. lat ma tyle pozytywnej energii i radości, co my wszyscy razem wzięci. Dzięki niemu mogłam przedstawić choć ułamek tego, co dziś odchodzi w zapomnienie. Za sprawą tych rozmów zaczęłam także szukać literatury, która traktowałaby o Pluskach i udało mi się odkryć kilka wspaniałych pozycji, m.in. Marii Zientary-Malewskiej, Anny Szyfer czy Jana Chłosty. Znalazłam w nich informacje o moim prapradziadku Antonim, pradiadku Aleksie i dziadku Oswaldzie. Jestem dumna z tego, że historia mojej rodziny, moja historia jest związana z tym regionem. I nieważne, czy ktoś był Niemcem czy Polakiem, do jakiej szkoły chodził, jakim językiem mówił, ważne, że wszyscy jesteśmy z Warmii. Taka jest nasza historia.



Rys. Iwona Bolińska-Walendzik

ELŻBIETA LENKIEWICZ kierownik artystyczny Teatru przy Stoliku

## Intymny teatr wyobraźni Jubileusz 20-lecia Teatru przy Stoliku

„Jeżeli kochasz to, co robisz – nie musisz pracować”. Ta sentencja jednego z dalekowschodnich filozofów doskonale pasuje do wielkiej przygody, jaką jest dla mnie prowadzony od 20 lat cykl czytań dramatów zwany Teatrem przy Stoliku. Otóż to, przygody, nie zaś obowiązku związanego z wykonywaniem kolejnego zadania służbowego, jakie 20 lat temu powierzył mi dyrektor Marek Hassa. A stało się to za sprawą moich zacnych kolegów aktorów – Tadeusza Madei i Władysława Jeżewskiego, którzy tą nietypową formą prezentacji sztuk na tyle zainteresowali dyrektora, że przyklasnął pomysłowi, a mnie zachęcił do znalezienia odpowiedniego tekstu dla emerytowanych artystów. Nie spodziewałam się wówczas, że polecenie szefa okaże się dla mnie wielką i odwzajemnioną miłością teatralną.

Tak oto doszło do pierwszej premiery – dramatu Matei Visnieca „Zatrudnimy starego kłowna” w wykonaniu wspomnianych wyżej kolegów i nieco od nich starszego Stefana Burczyka. Małą salką kawiarenki Teatralnej widzowie wypełnili dosłownie po brzegi, a liczna grupa młodzieży zajęła miejsca nawet na podłodze i podeście, niemal u stóp aktorów.

Publiczność od początku pokochała ten skromny teatr wyobraźni i obdarzyła aktorów oraz mnie nie tylko zaufaniem, ale przede wszystkim potężną dawką empatii. Myślę, że najlepiej emocje widzów odda fragment felietonu Jerzego Szczudlika, wiernego bywalca naszego cyklu, a zarazem piszącego dla „stolika” autora, zamieszczony w „Gazecie Gietrzwałdzkiej”/11-24.11.2016/: *Aktorzy rozumieją, jakim podlegają ograniczeniom: ruch w przestrzeni krzesła, lampka w miejsce reflektorów, brak kostiumów, scenografii i całej teatralnej maszyny. Ale czują, że tekst dramatu musi wybrzmieć tak samo prawdziwie i szczerze jak na deskach sceny. I wiedzą, że przed nimi siedzi najprawdziwszy z prawdziwych widz, miłośnik teatru pod każdą postacią, przeto nie ma tu miejsca na fałszywe tony, na odczytanie wypracowania. Bo my, wierna publiczność, musimy ich zobaczyć w tych niewidzialnych kostiumach, w tej niedostrzegalnej scenografii, wreszcie w tej nieuchwytniej atmosferze. I oni tak właśnie nam się ukazują.*

Tę bliskość, a nawet intymność wyzwalamąca szczególne emocje, cenią sobie na równi obie strony. Aktorzy twierdzą, że ten kontakt wyzwala także ich wyobraźnię (pracują nad tekstem oraz interpretacją sami, bez pomocy reżysera), uczy prostoty grania, a efekt jest taki, że często mają wręcz magiczne



Fot. z archiwum Planety 11

uczucie, iż publiczność oddycha razem z nimi. To jakość nie do przecenienia.

W ciągu 20 sezonów w Teatrze przy Stoliku przeczytaliśmy 184 sztuki, różnorodne tematycznie, problemowo i gatunkowo. Od 19 lat cykl obecny jest też w bibliotekach, świetlicach wiejskich, kameralnych salkach domów kultury w całym regionie, a nawet poza nim (Łomża, Kolno). To swoista działalność misyjna. Jeździmy między innymi do takich miejsc, w których mieszkańcy nigdy nie obcowali z teatrem, zatem sztuka słowa literalnie „dociera pod strzechy”. I czuje się tam wraz z nami komfortowo, ponieważ publiczność jej oczekuje z podobną jak w Olsztynie ciekawością, niecierpliwością i nieukrywaną sympatią.

Teatr przy Stoliku przez 17 lat działał w Teatrze Jaracza, dając regularne, comiesięczne premiery, po czym został „wyproszony” z tej zacnej siedziby. Rozczarowani widzowie zareagowali na tyle żywiołowo, że udało się go wznowić w innych przestrzeniach miasta, z inicjatywy i pod auspicjami Towarzystwa Kultury Teatralnej. Dzięki temu powstał projekt złożony do Urzędu Miasta Olsztyna, którego beneficjentem zostało TKT, partnerami zaś Miejska Biblioteka Publiczna, Olsztyński Teatr Lalek i Kino Studyjne Awangarda 2. Ratusz wspomógł już dwukrotnie to przedsięwzięcie, współfinansując działalność Teatru przy Stoliku oraz obejmując patronetem prezydenta Piotra Grzymowicza.

I tak nowa edycja cyklu zaistniała w przestrzeniach filii MBP na Dątkach, Pieczewie i w Planecie 11, a także w OTL oraz w kinie Awangarda 2, gdzie widzowie mogą oglądać wybitne ekranizacje dramaturgii światowej. W ciągu dwóch kolejnych sezonów tej edycji zrealizowaliśmy w Olsztynie 12 premier i 6 pokazów filmowych. Wierna i niestrudzona publiczność podążyła za mną i aktorami wszędzie tam, gdzie czytamy, co tylko utwierdza nas w przekonaniu, iż to działanie ma doprawdy głęboki sens. Zatem – niech trwa do kolejnego jubileuszu w dobrej kondycji tak publiczności, jak i aktorów, czego życzymy im najserdeczniej!

AGNIESZKA KACPRZYK

## Krótką historia o Długim

**Kiedy pada filozoficzne pytanie o to, czy istnieje miłość od pierwszego wejrzenia, zawsze odpowiadam „TAK!”. A to dlatego, że już dwa razy zakochałam się od pierwszego wejrzenia. Za każdym razem w Jeziorze Długim i jego bajecznej okolicy.**

### CZARODZIEJSKIE RYBAKI

Pierwszy raz wylądowałam nad Długim na chwilę. Szłam na korepetycje do licealnej koleżanki, żeby wytłumaczyła mi zawitości działania kondensatorów. Wędrowałam ścieżką wzdłuż jeziora, gapiałam się na przedwojenne domki z czerwonymi dachami, a w moim piętnastoletnim sercu trzepotał zachwyty. Jak dorosnę, to tutaj zamieszkać! — złożyłam sobie solenną obietnicę.

Ja — mieszkanka osiedla betonowych sześcianów — wreszcie znalazłam miejsce, które spełniało moje romantyczne marzenia o domkach z okiennicami, klimatycznych poddaszach, widoku na tafłę jeziora połyskującą porannym słońcem. A potem przyszły studia i praca. Wyjechałam do Poznania, później do Warszawy i kompletnie zapomniałam o czarodziejskich Rybakach.

### SIEDZĄC NA DACHU

O rodzinnych stronach przypomniałam sobie, kiedy sama postanowiłam założyć rodzinę. Do dziś pamiętam ekscytację, kiedy zobaczyłam ogłoszenie w gazecie: „Poddasze nad Jeziorem Długim”. Tego samego dnia już tam byliśmy, pół godziny później umówiliśmy się na podpisanie umowy. Wszyscy pukali się w czoło — bo mieszkanie za małe, bo cena kosmiczna, bo... A ja wruszałam ramionami i kontrargumentowałam: takie miejsce warte jest każdej ceny.

Wieczorami siadałam w wykuszu z papierosem, zwieszałam nogi i bębniąc piętami o dachówki, napawałam się widokiem alei Przyjaciół.

### NA RATUNEK TOPOLOM

To właśnie w tym oknie wypatryłam pewien duet, który mnie zaintrygował. Oboje na emeryturze, choć nie wskazywały na to ani dynamiczny sposób poruszania się, ani ich ubiór, który określiłabym mianem dyskretnej awangardy, ani energia, jaka z nich emanowała. Potem okazało się, że oboje działają w Radzie Osiedla. Wojtek

jest przewodniczącym, a Kasia — sekretarzem. To właśnie za ich kadencji Rada wraz z mieszkańcami osiedla uratowała przed egzekucją kilkaset topoli. Ich zaangażowanie, a jednocześnie radość z tego, że można zrobić coś dobrego dla innych, okazała się na tyle zaraźliwa, że w kolejnej kadencji sama postanowiłam zasilić szeregi Rady.

### ZWARTE SZEREGI OBYWATELSKIE

Działać w Radzie na takim osiedlu to nie tylko obowiązek, ale i przyjemność, bo mieszkańcy znad Długiego to wzorcowy przykład społeczeństwa obywatelskiego. Tu żadna deweloperska samowolka nie przejdzie — wszyscy są zbyt czujni, a gdy trzeba, zwierają szeregi i solidarnym głosem bronią układu architektonicznego, enklawy przyrody i całej tradycji Osiedla Nad Jeziorem Długim. Dlatego pewien inwestor porzucił swoje marzenia o drapaczu chmur na Błękitnej.

### UNIKAT NA WIELKĄ SKALĘ

Ja natomiast niemal każdego dnia czuję się wyróżniona, jakbym wygrała los na loterii. Bo ilu ludzi, mieszkając w centrum blisko 200-tysięcznego miasta, ma wodę i las pod nosem? Ile osób może zafundować sobie czterdziestominutowy poranny trening biegowy wzdłuż trzech jezior (Długie, Czarne, Krzywe), a kwadrans później siedzieć w pracy przy biurku (po drugiej stronie jeziora Długiego)? Osiedle Nad Jeziorem Długim to unikat w skali kraju, a może i Europy, o czym doskonale wiedzą starzy mieszkańcy. Mawiają oni czasem: „Jeśli raz tu zamieszkaasz, zawsze będziesz tu wracać.”

### JAK NA MARSZAŁKOWSKIEJ

Sama niebawem pożegnani się z Osiedlem Nad Jeziorem Długim, ale, mając w pamięci słowa mieszkańców, wiem, że niekoniecznie na zawsze. A na razie zamierzam, jak inni olsztyniacy, wpaść tu na poranne bieganie, popołudniowy rower albo niedzielny spacer z rodziną. A mieszkańcy będą się denerwować, że znów nad ich jeziorem najazd Hunów, a na ścieżkach jak na Marszałkowskiej. I dobrze. Jakaś cenę za luksus mieszkania nad Długim trzeba zapłacić. Niech płacą!

# Crowdfunding

## JOANNA TEKLA WOŹNIAK

Jednym z największych wyzwań, przed którym stoję jako osoba czynnie zajmująca się kulturą, jest zdobycie finansowania dla moich projektów. Nie od dziś wiadomo, że ludzie kultury potrzebują pieniędzy i szukają ich w różnych miejscach. W obliczu wszechobecnej „grantozy” coraz częściej bierzemy sprawy w swoje ręce, organizując zbiórki społecznościowe w Internecie. W ubiegłym roku, dzięki jednej z tzw. platform crowdfundingowych, udało mi się z sukcesem zebrać fundusze na wydanie „Niecodziennego Przewodnika po Olsztynie”. Choć nie było łatwo, moje doświadczenie z tą formą finansowania uważam za niezwykle inspirujące. Nie wykluczam, że w przyszłości ponownie skorzystam z crowdfundingu... o ile tylko będę mieć dostatecznie dużo czasu. Crowdfunding bowiem to metoda, która może być bardzo skuteczna, jednak z mojej perspektywy wciąż pozostaje metodą bardzo czasochłonną.

Samo wstawienie projektu na stronę portalu to zaledwie początek czekającej nas pracy, często niestety żmudnej i monotonnej. Organizowana przez nas zbiórka wymaga bowiem regularnej i intensywnej promocji różnorodnymi kanałami. Chodzi o to, aby informacja o projekcie jak najszybciej dotarła do jak



najszerzej grupy potencjalnych odbiorców, a to w oczywisty sposób pochłania czas i energię. Jeśli PR-em zajmuje się grupa zaufanych współpracowników sprawiedliwie dzielących się odpowiedzialnością za powodzenie zbiórki, będzie z pewnością znacznie łatwiej i efektywniej. Doświadczenie uczy jednak, iż podobne sytuacje niestety nie zdarzają się zbyt często.

Zesztoroczna kampania promocyjna „Niecodziennika”, za którą odpowiadałam samodzielnie, trwała około dwóch miesięcy. Obejmowała ona m.in. moją obecność w lokalnej prasie, kilkukrotne wizyty w telewizji i radiu, nade wszystko jednak powtarzalne działania w Internecie. Pamiętam, że w tym okresie praktycznie nie było dnia, w którym nie pojawiłaby się choćby krótka wzmianka, nie odbyła rozmowa czy nie został wysłany mail w sprawie zbiórki.

Chodzi także o to, aby skutecznie budować społeczność zainteresowaną naszym projektem. Podpisuję się obiema rękami pod stwierdzeniem, że zbiórka powinna mieć swoich „apostołów”, czyli osoby, które wierzą w jej powodzenie i puszczają informację o niej dalej. Także w przypadku „Niecodziennika” nie do przecenienia była rola plotki czy, jak wolą niektórzy, marketingu szeptanego. Znajomi opowiadali o projekcie swoim znajomym, a ci dzielili się informacją z kolejnymi osobami – w mediach społecznościowych poprzez wklejenia, szery i lajki, a w tzw. realu poprzez zwykłe, codzienne rozmowy.

Niezwykle miłym bonusem było to, że w trakcie trwania kampanii zaczęły się odzywać do mnie osoby realizujące podobne projekty, proponujące współpracę czy po prostu dzielące się pozytywnym feedbackiem. Pojawiła się także propozycja współpracy z wydawnictwem, zaproszenia na lokalne eventy, podczas których można by opowiedzieć o „Niecodzienniku”. Spotkałam się z wieloma pozytywnymi reakcjami otoczenia, które dodały mi wiary w sens tego, co próbuję robić.

Powstanie „Niecodziennika Olsztyńskiego” nie byłoby możliwe, gdyby nie wsparcie internautów. Udało się wydrukować 300 egzemplarzy książki. To niewiele, ale pozwoliło na domknięcie projektu i zamknięcie pewnego etapu działań. Cieszy mnie, że dzięki tej publikacji mam namacalny dowód na to, że pewna praca została wykonana.



Fot. okładki płyty *Thousand Lakes*, A.Broda

## ANIA BRODA

Żyjemy w czasach dynamicznie zmieniających się technologii, które determinują styl i rytm naszego życia. Wpływają na nasze codzienne wybory. Intensywnie rozwijają się obecnie nowe formy kontaktowania się między ludźmi. We współczesnym świecie za pomocą Internetu możliwe jest uczestniczenie w kilku działaniach jednocześnie. Możemy współtworzyć i mieć wpływ na wiele przedsięwzięć z różnych dziedzin kultury i nauki, praktycznie nie wychodząc z domu. Dzięki nowym mediom przenikają się grupy społeczne. Przystają istnieć bariery wiekowe. Młodzi i starzy mają szanse uczestniczyć w wielu wspólnych działaniach. Być razem w grupie za pomocą wirtualnego świata. Ludzie poznają się i nawiązują relacje bez względu na różnice środowiskowe czy geograficzne położenie. Online możemy pracować i przyjaźnić się. Zawiera trwałe i krótkoterminowe relacje z osobami spoza naszej pracy czy rodziny. Mamy zwiększoną możliwość poszerzenia kompetencji i wiedzy. Możemy studiować i uczyć się. Rozwijać swoje pasje. Realizować kursy, kształcić się i zdobywać nowe uprawnienia. Wspierać działania innych. Być częścią wspólnych społecznych projektów. Debatować na tematy społeczne i polityczne. Głosować i wypowiadać się publicznie. Formować grupy działania. Urzeczywistniać swoje ambicje. Pomagać innym ludziom realizować ich marzenia. Informacja o nowych projektach, w których możemy wziąć udział, dociera szybko i ma globalny zasięg. Świat stoi przed nami otworem. Jednym z takich zjawisk, które za pośrednictwem nowych mediów zmieniają naszą społeczną rzeczywistość, jest crowdfunding. Staje się on obecnie flagowym i innowacyjnym sposobem rozwiązywania problemów w zarządzaniu nowymi projektami i realizacji działań z zakresu kultury. Jak bardzo zmieni się nasz świat pod wpływem tych pionierskich form współdziałania? Jaka rzeczywistość może zostać wykreowana przez współfinansowanie nauki, sztuki i kultury? Czy pozwala to na wolność tworzenia, czy też sprawia, że sztuka staje pod

prężierzem wyborów tłumu? Czy wokół crowdfundingowych projektów tworzy się jakaś nowa społeczność? Czy wspólna realizacja działania sprawia, że ludzie identyfikują się z przedmiotem działań? Jak trwałe są to więzi społeczne?

Wiosną 2016 r. miałam okazję osobiście organizować akcję crowdfundingową na portalu Polak Potrafi. Celem było zebranie środków pieniężnych na wydanie płyty z muzyką Warmii i Mazur. Akcja miała trwać 45 dni. Byłam bardzo przejęta tym działaniem, ponieważ gdyby określona w projekcie suma nie została zebrana, cała moja praca poszłaby na marne. W skrócie mówiąc, Polak Potrafi rządzi się zasadą: wszystko albo nic. Nie można uzyskać częściowego sukcesu. Dlatego przez 45 dni nieustannie informowałam o mojej akcji crowdfundingowej. To nie było łatwe. Po pierwsze trzeba było nauczyć się, jak zwracać się do innych o pomoc. Lekcja pokory. Zawsze uważałam siebie za osobę niezależną. W tej sytuacji stałam się zależna od wsparcia innych. Musiałam nauczyć się rozmawiać o tym z innymi. Nauczyć się prosić o pomoc. Generalnie uważam, że to świetne narzędzie społeczne i biznesowe. Dla pojedynczego człowieka to niewiele – dorzucić się do ciekawego projektu. W sumie grosz do grosza, ziarno do ziarnka i można zrealizować wielkie rzeczy. Dzięki projektowi crowdfundingowemu dotarłam do wielu nowych odbiorców. Wiele osób dowiedziało się o mojej pracy. Powstała jakaś niewidzialna więź między wspierającymi, sponsorami, mecenasami a mną, czyli pomysłodawcą projektu. W tym czasie kilkanaście osób zaoferowało mi także pomoc w postaci nagród, które mogłam wrzucać do projektu. Nagrody są bardzo ważne. Cała formuła crowdfundingu opiera się na tym, że osoba, która przeznacza jakąś kwotę na wsparcie projektu, jednocześnie dostaje prezent, nagrodę. Są to bardzo różne formy – materialne i niematerialne – nagradzania osób biorących udział w projekcie. To, co jest ważne, to fakt, że osoby wspierające crowdfunding w moim odczuciu stają się częścią projektu i zaczynają tworzyć pewną wspólnotę wokół tej idei, pomysłu. Dużo dobrej energii odebrałam w tamtym czasie i mimo że bałam się, czy podołam presji czasu, to udało się wyczarować wiele magicznych przyjacielskich relacji i zdarzeń. Część tych osób spotkałam w realnym świecie po zakończeniu projektu. Niektórym osobiście wręczałam płytę, którą wspólnie ze mną stworzyli. Wielu z tych ludzi to moi nowi przyjaciele. Czego się nauczyłam? Żeby coś otrzymać, trzeba najpierw coś od siebie dać. Poznałam umiejętność dzielenia się z innymi. Sama od tego czasu wsparłam kilka ciekawych projektów crowdfundingowych, które realizują inni. To piękne i bardzo ludzkie odruchy. Dobry trening dla własnego ego. Przykład, jak skutecznie działać poza systemem wniosków i dotacji. Wiara we własny przekaz i odwaga – życzyć tego Wszystkim, którzy czekają na spełnienie swoich marzeń.

## MARCIN WAKAR

# Miłośnicy Olsztyna

Idea powołania lokalnej organizacji społeczno-kulturalnej zrodziła się w kręgu olsztyńskich działaczy społecznych związanych z Towarzystwem Rozwoju Ziemi Zachodnich i Stowarzyszeniem Społeczno-Kulturalnym „Pojezierze”. Zebranie założycielskie odbyło się 8 października 1965 r. w Starym Ratuszu. W gronie dwudziestu członków założycieli znaleźli się m.in. dziennikarka radiowa Anna Kochanowska, historyk Andrzej Wakar, architekt Bolesław Wolski, plastyk Henryk Oszczakiewicz czy rzeźbiarka Balbina Świtycz-Widacka. Na pierwszego prezesa wybrano dyrektora Szpitala Kolejowego dr. Stanisława Flisa. W styczniu 1966 r. Urząd Spraw Wewnętrznych zarejestrował organizację pod nazwą Towarzystwo Miłośników Olsztyna. W trakcie pierwszego zebrania sprawozdawczo-wyborczego z marca 1967 r. wypowiedziano słowa aktualne dla wszystkich członków do dziś: „Powstanie Towarzystwa Miłośników Olsztyna zrodziła miłość do miasta, w którym żyjemy, pracujemy i które pragnęlibyśmy widzieć z każdym rokiem coraz piękniejsze i lepiej zagospodarowane. To przywiązanie stało się inspiracją i zachętą do pracy organizacyjnej dla dobra i rozwoju Olsztyna”. W statucie określono szczegółowe cele działalności, w tym m.in.: rozpowszechnianie historii miasta i jego osiągnięć; inspirowanie działalności społecznej na rzecz zwiększania atrakcyjności Olsztyna oraz propagowanie jego walorów. Swą pierwszą siedzibę TMO miało w legendarnym dziś Domu Środowisk Twórczych. W pierwszym okresie działalności towarzystwo zajęło się popularyzacją historii miasta, głównie poprzez organizację wykładów.

W 1970 r. prezesem organizacji został Mieczysław Szczepański. To pod jego kierownictwem Towarzystwo podjęło dwie inicjatywy: organizację Dni Olsztyna oraz konkurs dla mieszkańców i przedsiębiorstw „Olsztyn miastem kwiatów i zieleni”. Wybrany w 1973 r. Witold Jarosz kontynuował organizację tych wydarzeń przez kolejne kilkanaście lat. Nowy prezes w czwartej odsłonie plebiscytu „Gazety Olsztyńskiej” został wybrany olsztynianinem roku 1979 r. Od tego czasu towarzystwo podjęło się organizacji drugiego ze swych sztandarowych konkursów: „Młody Przyjaciel Olsztyna”.

W 1986 r. Towarzystwo uzyskało siedzibę w budynku dawnego Konsulatu Generalnego RP w Prusach Wschodnich przy placu Nowotki 5 (obecnie plac Konsulatu Polskiego). Zebrania zarządu i wszystkie prace organizacyjne TMO odbywają się w tym miejscu do dziś.

W czasie transformacji ustrojowej nawarstwiały się problemy z utrzymaniem siedziby oraz kontynuowaniem obu konkursów. Kwestionowano nawet sens dalszej działalności Towarzystwa.

Zmiany nastąpiły dopiero 24 kwietnia 1991 r., kiedy wybrano nowy zarząd z Andrzejem Sassynem na czele. Dzięki pozyskanym od sponsorów środkom, a także inicjatywom i sile przebicia ówczesnego prezesa, TMO rozpoczęło szeroko zakrojoną działalność, która z jednej strony kontynuowała tradycje towarzystwa, z drugiej zaś wprowadziła je w zupełnie nowe obszary aktywności.

Nowy zarząd strategię działania oparł na programie budowania więzi pomiędzy byłymi i obecnymi mieszkańcami Olsztyna. 24 maja 1991 r. doszło do spotkania Andrzeja Sassyna z Walterem Angrikiem, ówczesnym liderem Olsztyńskiego Stowarzyszenia Mniejszości Niemieckiej. Odtąd rozpoczęły się polsko-niemieckie kontakty w atmosferze wzajemnego zbliżenia.

Ważnym wydarzeniem dla pojednania dawnych i obecnych mieszkańców Olsztyna była wizyta delegacji TMO w Gelsenkirchen, gdzie w rocznicę pięćdziesięciolecia zakończenia II wojny światowej spotkała się ona z członkami Stadtgemeinschaft Allenstein – stowarzyszenia byłych mieszkańców Olsztyna oraz przedstawicielami społeczności żydowskiej. Jak pisał Sassyn na łamach Kalendarza Olsztyna: „To była prawdziwa lekcja pokory i pojednania oraz myślenia o pokojowej przyszłości”.

Z drugiej strony organizacja przodowała w deklarowaniu uczuć patriotycznych. 8 października 1995 r. w fasadę budynku dawnego Konsulatu Generalnego RP, w którym mieści się siedziba TMO, wmurowana została tablica upamiętniająca pięćdziesięciolecie państwowości polskiej na Warmii i Mazurach oraz trzydziestolecie działalności Towarzystwa. Z inicjatywy TMO podjęto również działania mające na celu ustawienie na Placu Konsulatu Polskiego Kolumny Orła Białego.

Dzięki inicjatywie Towarzystwa i wsparciu dawnych mieszkańców Olsztyna z Gelsenkirchen oraz Fundacji Współpracy Polsko-Niemieckiej w 1996 r. na moście św. Jana restytuowana została figura św. Jana Nepomucena. Jej oryginał zaginął w niewyjaśnionych okolicznościach w 1945 r. Staraniem Towarzystwa uhonorowano tablicami upamiętniającymi osoby ważne dla miasta: zasadźcę i pierwszego sołtysa – Jana z Łajs oraz architekta Ericha Mendelsohna. Z kolei w 1995 r. TMO zainicjowało ciesząc się dużą popularnością Bieg Jakubowy,

który obecnie, jako półmaraton, organizowany jest przez Urząd Miasta.

31 maja 2001 r., w trakcie walnego sprawozdawczo-wyborczego zebrania członków TMO, Andrzej Sassyn zdecydował się nie kandydować w wyborach i powołano nowy zarząd z Krystyną Flis jako prezesem. Kluczowym zadaniem było ukończenie Kolumny Orła Białego. Pomnik projektu Andrzeja Matyki odsłonięto 3 maja 2002 r., jednak jego budowa przerosła skromne możliwości organizacji, która popadła w finansowe tarapaty.

Nie przeszkodziło to jednak w podejmowaniu kolejnych działań. Dzięki staraniom TMO nadano imiona dwóm olsztyńskim placom. Pierwszemu z nich – imię wieloletniej dyrektorki olsztyńskiej szkoły muzycznej Izy Garginowicz, drugiemu zaś – imię pierwszego polskiego autora historii Olsztyna Andrzeja Wakara.

Podejmowane były także takie inicjatywy jak cykl spotkań „Twórcze Miejsce Olsztyna” organizowany we współpracy z Miejskim Ośrodkiem Kultury, a także wiele imprez okazjonalnych wspieranych muzycznie przez Kapelę Jakubową oraz Kaczki z Nowej Paczki.

W 2002 r. ustanowiono najwyższe odznaczenie TMO – Wielką Pieczęć Towarzystwa Miłośników Olsztyna. Jako pierwsza została nią uhonorowana Irena Telesz, aktorka olsztyńskiego Teatru im. Stefana Jaracza.

W kolejnych latach nadal upamiętniano powojennych mieszkańców Olsztyna, w tym m.in. inicjując sprowadzenie do Olsztyna prochów rzeźbiarki Balbiny Świtycz-Widackiej, czy współprodukcję w 2013 r. film poświęcony ks. infułatowi Julianowi Żołnierkiewiczowi. Skupiono się też na działalności w innych obszarach, dając początek zimowemu Jarmarkowi Warmińskiemu oraz organizując akcję rozświetlenia choinki itp.

24 października 2013 r. odbyło się Walne Sprawozdawczo-Wyborcze Zebranie TMO, w trakcie którego prezesem wybrano autora tych słów. Wraz z nim do zarządu Towarzystwa weszła grupa trzydziestoparolatków, w tym m.in. historyk Krzysztof Jankun, dziennikarka Radia Olsztyn Maja Kwiatkowska, aktor i konferansjer Mariusz Korpoliński oraz pracownik Biura Wystaw Artystycznych Aleksander Traba. Nowy zarząd postanowił z jednej strony kontynuować tradycje tej zasłużonej dla miasta organizacji, z drugiej zaś odświeżyć jego wizerunek, tworząc chociażby profil na popularnym portalu

społecznościowym Facebook. Od 2013 r. jest to nie tylko kronika działalności, ale również głos Towarzystwa w sprawach dla miasta najistotniejszych. Rok później powstała strona internetowa.

Największymi wyzwaniem dla nowego zarządu były odzyskanie całości siedziby w zabytkowej kamienicy przy pl. Konsulatu Polskiego 5 oraz organizacja obchodów pięćdziesięciolecia Towarzystwa. Te rozpoczęły się dokładnie w dzień jubileuszu – 8 października 2015 r., jak przed półwieczem w budynku Starego Ratusza, a miały swą kontynuację następnego dnia w Teatrze im. Stefana Jaracza. Po odzyskaniu siedziby najistotniejszą zmianą, jaką wypracował zarząd w nowym pięćdziesięcioleciu, było opracowanie nowego, jednolitego tekstu statutu, który aktualnie oczekuje w sądzie na rejestrację.

W 2014 r., w związku ze stuleciem wybuchu jednego z najkrwawszych konfliktów w historii ludzkości, zarząd Towarzystwa Miłośników Olsztyna podjął działania mające na celu odsłonięcie tablicy poświęconej pracownikom olsztyńskiego ratusza, którzy zginęli na frontach I wojny światowej. Od 1945 r. zabytek znajduje się w holu ratusza przykryty kawałkiem wykładziny... Mimo obietnic Prezydenta Olsztyna dr. Piotra Grzymowicza kolejny rok świadectwo wielokulturowej przeszłości naszego miasta pozostaje w ukryciu.



JOANNA PIOTROWSKA

## Wokół Zatorza

Stowarzyszenie „Nasze Jakubowo” wydało monografię poświęconą zabytkom Zatorza. O Zatorzu – XIX-wiecznej dzielnicy Olsztyna za torami – można usłyszeć rzeczy różne. Jedni twierdzą, że to obszar skazany na urbanistyczną i społeczną peryferyjność, drudzy widzą w nim charakter i wynikający z niego potencjał. Książka „Zatorze – magiczna dzielnica Olsztyna” jest próbą opisaną zachowanej tkanki zabytkowej, jednej z najważniejszych składowych tego charakteru. Powstała z myślą o tym, by przedstawić historyczny rozwój dzielnicy i pokazać najbliższe mieszkańcom świadectwa przeszłości, te mijane codziennie, wielokrotnie, znane z widzenia, choć nie zawsze kojarzone z godną zachowania wartością. Opisy i liczne aktualne zdjęcia czynią też z publikacji rodzaj przewodnika: z książką w ręku można wyruszyć na dalszy lub bliższy spacer właściwie z każdej zatorzańskiej ulicy. Materiał ilustracyjny tworzą także publikowane po raz pierwszy plany i rzuty ze zbiorów Archiwum Państwowego w Olsztynie.

Na książkę składają się cztery rozdziały, każdy innego autorstwa, przedstawiające zagadnienia kluczowe dla przestrzeni dzielnicy pomiędzy torami a Łyną. W pierwszym („Nowa dzielnica za torami. Urbanistyka i budownictwo mieszkaniowe końca XIX i początku XX wieku”) Magdalena Skarzyńska-Wawrykiewicz przedstawia kształtowanie układu komunikacyjnego i rozwijającą się wzdłuż nich zabudowę dzielnicy mieszkaniowej – domy dla kolejarzy (lata 90. XIX w.), przy skrzyżowaniu ulic Żeromskiego i Sienkiewicza, o elewacjach z cegły licowej i kamienice z fasadami dekorowanymi przez sztukatorski wystrój o urozmaiconej ornamentyce budowane w dekadach najbliższych przełomowi wieków, zachowane przy ulicach Jagiellońskiej, Okrzei, Kraszewskiego, Żeromskiego czy Zientary-Malewskiej. Autorka poświęciła bogato ilustrowany podrozdział zabytkowej stolarce, oknom i drzwiom – powstała dzięki temu forma minikatalogu, w którym utrwalono indywidualne formy dawnego detalu, obecnego wciąż jeszcze w wielu domach, gdzie indziej bezpowrotnie zniszczonego.

W drugim rozdziale („O rozwoju dzielnicy w latach międzywojennych i o zatorzańskich budowach użyteczności publicznej”) opisano gmachy szkolne, dwa kościoły Zatorza, dawne sanatorium przeciwgruźlicze. W latach 20-30. XX w. zagęściła się sieć ulic i zabudowa. Zatorze stało się w skromnym wymiarze miejscem realizacji idei tak zwanego miasta ogrodu. W kwartale między ulicami Zientary-Malewskiej, Moniuszki, Limanowskiego i Reymonta ogrody przydomowe zostały rozmieszczone między liniami zabudowy. W skromnej

# magiczna Zatorze dzielnica Olsztyna

architekturze inspirowanej modernizmem tynki jasnych elewacji opracowywano fakturowo, pojawia się detal z charakterystycznego żłobionego w prążki betonu. Także tutaj autentyzm dawnych technik w wielu miejscach zniknął, w innych czeka na ochronę.

Adam Płoski, autor trzeciego rozdziału („Dziedzictwo kolei, przemysłu i koszar”), wraca do początków dzielnicy – do obiektów związanych z przeprowadzoną w 1872 r. linią kolejową. Widzimy Zatorze także jako dzielnicę cegielni, tartaków, zespołów koszarowych, uciążliwych zakładów miejskich. Przy alei Wojska Polskiego 5 i 6 zachowały się budynki dawnej rzeźni (1880 r.) i zakładu energetycznego (1907 r.). Na dalszym odcinku alei Wojska Polskiego funkcjonował browar Leśny Zameczek (budowa od 1878 r.), o którym dziś świadczą już tylko dwa obiekty na terenie nowego osiedla mieszkaniowego – nieużytkowany budynek dawnej administracji i przekształcony w lofty słodownia. Pozostał także dawny staw browarny – staw w parku Jakubowo. Do dziś na skraju dzielnicy i miasta działa hydroelektrownia u zbiegu rzek Łyna i Wadąga, powstała jednocześnie z zakładem energetycznym.

W 1862 r. na skraju kompleksu Lasu Miejskiego powstał pierwszy park olsztyński – Jakubowo. Parkowi i terenom zielonym – charakterystycznym elementem Zatorza – poświęcony jest ostatni rozdział autorstwa Marty Akinczy i Urszuli Knercer-Grygo („Zabytkowa zieleń na Zatorzu”). Za torami ulokowano cmentarze, które zakładano z dbałością o nasadzenia alejowe i graniczne: katolicki cmentarz św. Jakuba (1870 r.) i ewangelicki (1886 r.) przy alei Wojska Polskiego. W 1904 r. założono obecny cmentarz św. Józefa. Ukształtowane przez czas bryły starodrzewu cmentarzy mają dużą wartość zabytkową. Zatorzańska zieleń to także lipowe aleje uliczne, altana grabowa na skwerze przy ulicy Wyspiańskiego, prywatne ogrody użytkowe.

A wszystko to w jednej dzielnicy.

Fot. fragment okładki „Zatorze – magiczna dzielnica Olsztyna”, red. J. Piotrowska, oprac. graficzne Michał Knercer

Olsztyn: Stowarzyszenie „Nasze Jakubowo”, 2016. Publikację umożliwiła dotacja Samorządu Miasta Olsztyn. Na okładce i stronach śródtytułowych znalazły się zdjęcia projektu „Zatorze” olsztyńskiego fotografa Łukasza Pepola ([www.lukaszpepol.pl](http://www.lukaszpepol.pl)).

Kontakt w sprawie dystrybucji książki na stronie Wydawcy: [www.naszejakubowo.eu](http://www.naszejakubowo.eu).

WALDEMAR TYCHEK

## Kobiety idealne i mężczyźni na prezenty

W obecnych, jakże trudnych dla mężczyzn czasach, nabieram przekonania, że ci, którzy powtarzają za Szekspirem, iż kobieta jest przysmakiem bogów, o ile jej diabeł nie przyprawił, nie znajdują się albo na literaturze albo na kobietach.

Już Monteskiusz bardzo trafnie ujął to zagadnienie, stwierdzając, że istnieją na świecie ludzie bardzo nieszczęśliwi, których nikt nie pociesza – a są to zazdrośni mężowie; są również tacy, których wszyscy nienawidzą – i to również są zazdrośni mężowie; są wreszcie tacy, którymi wszyscy pogardzają – i są to także zazdrośni mężowie! Panowie! I o co tu krzyczą kopie? Wiadomo przecież, że o ile ze strony mężczyzny wszystko jest możliwe, o tyle w przypadku kobiet jedynie prawdopodobne. Oczywiście największym atutem kobiety jest wyobraźnia mężczyzny, ale z drugiej strony, gdyby kobiety były – jak twierdzą – mądrzejsze od mężczyzn, to czy byłyby w stanie kochać tych głuptasów? Idealnych mężczyzn nie ma, bo gdyby byli, to z pewnością sprzedawano by ich kobietom w galeriach handlowych na prezenty. Natomiast kobiety idealne oczywiście istnieją – i są to w większości te, które wcale nie chcą mieć idealnych mężów.

Z historii wiemy też, że kobiety były często dla mężczyzn natchnieniem do tworzenia rzeczy wielkich, których spełnieniu później staraty się przeszkodzić. Najlepszym tego przykładem był Henryk Sienkiewicz, który, zafascynowany wielką wojną Polski z Zakonem Krzyżackim, rozpoczął w 1865 r. pisanie „Spytka z Melsztyna” stanowiącego kanwę dla przyszłych „Krzyżaków”. Kiedy jednak – w temacie Spytka – wziął na spytki historyka Michała Balińskiego, ostatecznie ze Spytka zrezygnował. Po raz drugi przysiadł do „Krzyżaków” w 1892 r., jednak znów musiał przerwać pracę, ponieważ rok później pojął był za żonę Marię Wołodkiewiczównę. Panienska ta, po uwiedzeniu Sienkiewicza, w dwa tygodnie po ślubie uciekła do mamusi i Sienkiewicz, zamiast „Krzyżaków”, zmuszony był splotzić nudną jak flaki z olejem, co najmniej z czwartego tłoczenia, „Rodzinę Połanieckich”, gdzie z gorzką satyrą sportretował zbiegłą małżonkę

i jej rajfurkę – swoją teściową. Już wydawało się, że „Krzyżacy” ruszą z kopyta, jednak pisarz pomny własnego nieszczęścia i czkawką połaniecką owładnięty znów odłożył na bok Długosza i Szajnochę (z których to autorów czerpał ducha dla niedosłej powieści) i napisał „Quo vadis”.

Z drugiej strony może to i dobrze, że przerwał wówczas pracę nad „Krzyżakami”, bo gdyby ją kontynuował, to nie otrzymałby Nobla. A tak dzięki temu antrakowi mamy i Nobla, i „Krzyżaków”.

Nie byłbym jednak sprawiedliwy, gdybym nie przytoczył przykładu potwierdzającego tezę o kobietach będących u boku swych mężów twórczym dla nich natchnieniem i nie rzucających im kłód pod nogi. Taką niewątpliwie była Elżbieta Mironow-Mirocka – żona Feliksa Nowowiejskiego. Nie dość, że zrezygnowała z własnej kariery śpiewaczki i urodziła mu pięcioro dzieci, to przy jej wydatnej pomocy i wielce przychylnym nastawieniu kompozytor napisał m.in. „Legendę Bałtyku”, mnóstwo koncertów i utworów organowych, opery i symfonie. A kiedy słucha się przykładowo takiej „Symfonii Białowiejskiej”, to w niej rzeczywiście szumią nawet liście. Można domniemywać, że takich kobiet jak żona Nowowiejskiego dziś już tylko ze świecą szukać. Wszak Feliks, muzyczny już od dziecka (bo jak mu coś na podłogę spadło, to pewnie mówił: bach!), w wieku dojrzałej twórczości, kiedy w uszach mu szumiały jedynie gamy h-moll, nie mógł przecież słyszeć, jak co rano żona radziła mu, żeby poszedł się ostrzyć, bo wygląda jak chryzantema.

Kiedyś mój przyjaciel – również muzyk z zawodu – jadąc samochodem, walnął w słup telefoniczny i stracił na chwilę przytomność przyduszony wystrzeloną poduszką powietrzną. Kiedy się ocknął i zobaczył, że cały samochód jest oplątany drucikami, mruknął dość nieprzytomnie: „No masz, wjechałem w harfę!”. A na to żona (której poduszka nota bene nie wystrzeliła) – „A nie mówiłam ci, żebyś skręcił? A ty co? I w które lewo skręciłeś!?”.



2016  
-Rok Feliksa  
Nowowiejskiego

